NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. | Kraków, 3 marca 1917. | Nr. 9.

Hekatomby wojny podwodnej.



Łódź podwodna w walce na powierzchni morza.



Łódź podwodna zatapia torpedą nieprzyjacielski parowiec.

Hekatomby wojny podwodnej.

(Do illustracyi tytułowej).

Od dnia 1. lutego roku bieżącego wojna weszła w nową fazę. Rozpoczęta w dniu tym zaostrzona walka łodziami podwodnemi przesunęła punkt ciężkości wojny na morze. Każdy dzień przynosi długą listę zatopionych przez niemieckie łodzie podwodne okrętów nieprzyjacielskich i neutralnych, które idą na dno z całą swą zawartością i załogą. Każdy dzień pomnaża liczbę ofiar w tej walce o władztwo na morzu. Jak doniosły niedawno depesze, łódź podwodna zatopiła na morzu Śródziemnem włoski okręt „Minas“, który wiózł tysiąc żołnierzy do Salonik. Wszyscy znaleźli śmierć w otchłaniach morza z wyjątkiem dwóch! W ogromie jednak ofiar, jakie pochłania ta nowa, zaostrzona faza wojny morskiej, jest to drobna zaledwie cząstka. Jak stwierdził pierwszy lord admiralicyi angielskiej, Carson, przy obradach nad budżetem marynarki w Izbie niższej, w ciągu pierwszych ośmnastu dni lutego zatopionych zostało 134 okrętów angielskich i neutralnych. Carson pocieszał wprawdzie swych słuchaczy zapewnieniem, że w tymże samym czasie przybyło do portów angielskich 6 675 okrętów, a wyjechało 5 873, nie zmienia to jednak faktu olbrzymich strat, jakie poniosła flota koalicyi i państw neutralnych w ciągu kilkunastu dni zaledwie. To też Niemcy z dotychczasowego przebiegu zaostrzonej walki łodziami podwodnemi jak zaznaczył sekretarz stanu urzędu marynarki, Capelle — są zupełnie zadowolone. Na posiedzeniu komisyi parlamentarnej oświadczył on w tej sprawie między innemi co następuje:

„Oczekiwania, pokładane w nieograniczonej wojnie łodziami podwodnemi, nie tylko się spełniły, ale nawet dały coś więcej. Zarządzenia obronne ze strony Anglii trzymają się w bardzo ograniczonym zakresie. Na morzu Północnem ruch okrętowy prawie zupełnie ustał, a żegluga neutralna również została niemal wstrzymaną. Wszystko razem wziąwszy, marynarka z całem zaufaniem może oczekiwać dalszego przebiegu wojny łodziami podwodnemi. Oczekiwania, jakie do tej walki łodziami podwodnemi przywiązywał naród niemiecki, zostały w pełni osiągnięte przez dotychczasowe sukcesy“.



Zgon wybitnego lekarza i uczonego: Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i dyrektor c. k. Szkoły położnych, ś. p. dr. Stanisław Dobrowolski.



Z frontów bojowych: Zdobyte przez armię austryacką włoskie pociski, zdeponowane w pewnej miejscowości tyrolskiej.



Jubileusz Maryana Dubieckiego: Jubilat (X) w gronie profesorów Kursów imienia Baranieckiego. Obok (na prawo) siedzi inicyator uroczystości, dyrektor Kursów profesor Józef Rostafiński.





Miejscowa ludność cywilna przy budowie drogi na wschodnim froncie. **Z frontów bojowych:** (Fot. inż. Bogdanowicz) Łupanie krąglaków przy budowie drogi na wschodnim froncie.

Nie zatają zresztą tych sukcesów, jakie odniosły w dotychczasowej walce niemieckie łodzie podwodne, także i prasa koalicyi zdradzająca wielkie zaniepokojenie. I nic dziwnego. Wojna weszła obecnie w fazę dla koalicyi najniebezpieczniejszą. Państwa centralne, które koalicya zamierzała i zamierza zwyciężyć blokadą, przez wygłodzenie — dziś chwyciły się tej samej broni wobec swych przeciwników, blokując Anglię, Francyę i Włochy łodziami podwodnemi. Jest to walka najbardziej może decydująca, bo walka o środki do prowadzenia wojny. Obie strony wytężą niewątpliwie wszystkie swe siły w tej nowej, „podwodnej" fazie wojny, pomimo strasznych ofiar, jakie giną codziennie w głębinach morza.

Jubileusz Maryana Dubieckiego.

Wysoki, szczupły, nieco pochylony, ze śliczną myślącą głową starca, o twarzy z cerą, jakby z kości słoniowej, okolone piękną, bujną siwizną, z oczyma niebieskiemi ze spojrzeniem przenikającem, z ustami blademi z wyrazem dobrotliwym — tak wygląda pan Marian Dubiecki, dziś 78 letni starzec. Na swój wiek wcale krzepki, chodzi powoli, poważnie, z głową nieco wzniesioną i budzi na pierwszy rzut oka uczucie poważania.

Jest przed czem schylić głowę. Wyrok śmierci za Ojczyznę, dwadzieścia parę lat wygnania na Sybir, trzydzieści trzy tułactwa — oto dorobek życia. Jest przed czem schylić głowę doprawdy!

Taki bieg życia w Europie w XIX wieku może mieć tylko Polak.

Pochodził z rodu wielkopolskich Ogończyków, do których też należeli Kościelscy i Działyńscy. Niewiadomo, kiedy się ta gałąź przeniosła na Wołyń. Rodzice byli majętni ziemianie w okolicyi Żytomierza, odumarli maleńkie dziecko — dziecko wątłe, słabowite. Paniczyk chował się na dworze matczynego ojca, dworze staroszlacheckim, surowych obyczajów, głęboko religijnym. Nie miał towarzyszów zabaw i w chłopięcym wieku, kiedy go wziął pod opiekę



Z frontów bojowych: Żołnierze austryaccy, zajęci budową drogi na wschodnim froncie, podczas odpoczynku. (Fot. inż. Bogdanowicz).

brat starszy. Zamknięty sam w sobie, pochłaniał książki, zwłaszcza historyczne, rozbudzał fant zyę i wzrastał w cnocie i zacności. Uniwersytet kończył w Kijowie, gdzie wśród młodzieży budził ducha narodowego. Potem, ze zgorszeniem rodziny, poszedł na profesora gimnazyalnego w Równie. On Dubiecki, on Ogończyk, na belfra! Ale jemu w głowie było jedno: pracować dla Ojczyzny! Bez powodu uwięziony i wywieziony został do Wiatki w roku 1861. Skoro powrócił, koła powstańcze wysłały go, jako reprezentanta całej Rusi, do Rządu Narodowego w Warszawie. Tu był dla niezwrócenia uwagi też profesorem. Dotrwał na stanowisku do ostatnich chwil i razem z innymi członkami Rządu został aresztowany i skazany na śmierć. Ze stryczkiem na szyi patrzał, jak wieszano pięciu innych, jednego po drugim. Mimo swej woli ułaskawiony za staraniem ludzi, przebył dwadzieścia lat na wygnaniu w Syberyi. Polakom nie trzeba opowiadać co to znaczy wygnanie; co za niewygody, braki, trud życia... Dwadzieścia lat... Z Syberyi dostaje się do Rosyi europejskiej, do Warszawy i osiada w roku 1884 w Krakowie. Tu jest jak na wygnaniu — bo współcześni ludzie nie odnosili się przyjaźnie do wygnańców. Jeden tylko człowiek nim się zajął, ale i tego nie mógł uściskać, bo to on sam był tym człowiekiem.

Pan Dubiecki w Krakowie pozostaje wierny swemu zawodowi; uczy tu i tam literatury polskiej, od roku 1887 na Kursach Baranieckiego. Stąd dziś trzydziestolecia jubileusz na tych Kursach. Byłby do obchodzenia dawniejszy, pisarza historycznego, pisarza niepospolitego, całkiem wyjątkowego co do tego, że podnosi zawsze dobre strony ludzi i czasów, że świeci się w nich: zacność, uczciwość, moralność, cnota.

Myśl uczczenia profesora Dubieckiego sama się przez się nasuwała. Grono uchwaliło przygotowanie adresu, dyrekcya sporządzenie portretu, któryby pozostał na Kursach, jako dokument, że one umiały przygarnąć, ocenić i uczcić znakomitego obywatela. Termin, pierwotnie oznaczony na rocznicę powstania styczniowego, musiał być dwukrotnie przesunięty.

W zeszły czwartek, 22. z. m. zebrało się grono



Jubileusz Maryana Dubieckiego: Grupa uczestników i uczestniczek uroczystości jubileuszowej.

nauczające i nauczane kursów, członkowie kuratoryi a niegdyś profesorowie Kursów J. Nowak, E. Bandrowski, reprezentant prezydyum miasta, rodzina i przyjaciele Jubilata. Zebrano się w pięknie udekorowanej sali, w której, naprzeciw katedry Jubilata, stał na podwyższeniu bronzowy biust Adrjana Baranieckiego, a nad nim portret pana Dybieckiego, pendzla dawnej kursantki, panny Apolinary Horwatówny. Uroczystość rozpoczął śpiew — chór Kursów, poczem dwaj koledzy uniwersyteccy Jubilata, dr. A. Kwaśnicki i prof. J. Tretiak wprowadzili go na salę. Skoro przebrzmiały pieśni, przemówiłem w następujący sposób:

„Święcimy dziś, Czcigodny Panie Profesorze trzydziestolecie pracy Twej na Kursach. W takich razach głosi się zwykle przesadne pochwały jubilata. Przemawiając dziś do Ciebie, nie jestem w takiem położeniu. Jakąkolwiek bowiem dziedzinę ludzkiego działania weźmiemy na uwagę, zawsze możemy prosto i szczerze powiedzieć o Tobie: ...oto człowiek!

„Życie zeszło Ci na pracy, ciężkiej, pracy na wygnaniu, nawet z siekierą w ręku i dotąd, mimo sędziwego wieku, nie przestałeś być czynny — oto człowiek. Na twarzy każdej istoty maluje się jej dusza — na Twojej można odczytać że prawość charakteru, szlachetność umysłu i dobroć stały się drugą Twoją naturą; że nigdy nie skalałeś się złością lub zawiścią, że nigdy nie przeszło Ci przez myśl nawet szkodzić drugiemu — oto człowiek. *Homo patriae natus est*, mówili Rzymianie, dwukrotny więzień stanu, długoletni wygnaniec, czyż nie jest wzorem miłości Ojczyzny — oto człowiek. Przez trzydzieści lat omawiając autorów literatury polskiej, siałeś wśród słuchaczek Kursów, w myśl ich założyciela, wszystko, co dobre, piękne i szlachetne, więc dziś schyla przed Tobą czoło całe grono nauczające i nauczane, życząc Ci setnych lat błogosławieństwa Bożego.

A ten portret, dziś zawieszony na jednej z sal Kursów, będzie przypominać pokoleniom nie tylko profesora, ale wzór człowieka i obywatela".

Potem pięknie odczytała adres uczennica kursów p. Gerałtowska, poczem adres i piękny, drogocenny kałamarz został wręczony Jubilatowi.

Pan prof. Dybiecki przemawiał serdecznie, mówił, że w życiu spełnił tylko obowiązek i zachęcał uczennice, żeby się tą dewizą kierowały w życiu.

Śpiew kantaty uroczystej zakończył zebranie.

Józef Rostafiński.

Sensacyjne morderstwo w Warszawie.

Niezwykłe morderstwo popełniono dnia 23 lutego w Warszawie. Ofiarą zbrodni padła znana w szerokich kołach Warszawy kapitalistka, Zofia Aleksandra z Mitkowskich Grobicka, kobieta lat 42 wdowa po byłym właścicielu restauracyi „Ermitaż" w Petersburgu. — Zamordowana przyjechała do Warszawy przed kilku laty ze znaczniejszymi funduszami. — Zbrodnię wykrył posłaniec, który około godziny 5 po południu, zastawszy drzwi zamknięte, a mieszkanie oświetlone, zaalarmował policyę. — Gdy drzwi otwarto, znaleziono Grobicką uduszoną na otomanie, lokaja jej zaś i kucharza w jednej osobie, czterdziestopięcioletniego Władysława Czapikowskiego, powieszonego na ręczniku na klamce drzwi, wiodących do sypialni Grobickiej.



Sensacyjne morderstwo w Warszawie: Zamordowana przez niewiadomych sprawców ś. p. Zofia Aleksandra z Mitkowskich Grobicka.

Według zeznań stróża, morderstwo popełnić mogli dwaj mężczyźni, elegancko ubrani, których w nocy wypuszczał z domu.

Sprawa budzi tem większą sensacyę, że osobą Grobickiej już przed trzema laty zajmowali się zbrodniarze. Słynna była wówczas kradzież, spełniona u Grobickiej, zamieszkałej na rogu ulicy Wilczej i Alei Ujazdowskich. Skradziono jej wtedy klejnotów i gotowizny na sumę trzydziestu tysięcy rubli. Gdy złodzieja schwytano, poszkodowana starała się uwolnić go od kary, chociaż straty nie odzyskała.

Zbrodnia spełniona była niewątpliwie dla rabunku. Cennych klejnotów i gotowizny nie znaleziono ani śladu. Nawet kolczyki wyjęto z uszu i zdjęto z palców kosztowne pierścionki, których zawsze kilka Grobicka nosiła. Znajomi jej wiedzieli, że Grobicka posiadała bardzo dużej wartości kolię brylantową. Kolię tę złoczyńcy również zabrali.

Złoczyńcy, o ile się zdaje, musieli dobrze znać rozkład mieszkania i wiedzieli, gdzie właścicielka chowa klejnoty i pieniądze. Niewątpliwie było ich co najmniej dwóch. Według przypuszczeń, mordercy rzucili się przedewszystkiem na Grobicką, gdy zaś kucharz, zwabiony hałasem, wszedł do sypialni, powiesili go na ręczniku.

Z frontów bojowych.

Przerwa bojowa, wywołana mrozami i zaspami śnieżnemi, dała wojskom sprzymierzonym możność rozgospodarowania się w zdobytych terytoryach. — Więc naprawia się drogi, odbudowuje się zniszczone mosty, przyprowadza się do normalnego stanu linie kolejowe. Z tej pracy na terytoryach okupowanych zamieszczamy w dzisiejszym numerze kilka fotografii.

Co do militarnych działań zaznaczyć należy, że na froncie włoskim tu i owdzie zdarzy się tylko lokalne starcie. — Na froncie zachodnim panuje pewne ożywienie, ciągle na jednej i tej samej widowni, pomiędzy rzeką Somme i potokiem Ancre.





Ruiny miejscowości Eton, koło Verdun. **Z frontów bojowych:** Główna droga w leśnym obozie niemieckim obok Craonne.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

22

Anielka zamyśliła się na chwilę nad słowami męża o Ludwiku.

— Rzeczywiście... Kazio ma racye... Ludwik się zmienił... Może między nim a panną Helą zaszło jakieś nieporozumienie... O to nietrudno, boć on porywczy i zarozumiały, a ona niesłychanie wrażliwa... Że on zakochany, to fakt... A ona, zdaje się, także... Jeżeli to istotnie jakieś nieporozumienie, to możnaby załagodzić... Muszę nieznacznie wybadać Ludwika...

Te rozmyślania przerwała jej zgrabna, średniego wzrostu dziewczyna, która weszła do pokoju, trzymając w obu rękach kawałki poszywanej materyi.

— Proszę pani, możeby panna Józia przymierzyła tę bluzkę teraz, to możnaby na jutro wykończyć...

— Myślałam, że panienka jest tam, przy was. — rzekła Walczakowa, odkładając na stół swoją robotę.

— Była, ale jak poczta przyszła, to panienka wzięła list od listonosza i już się więcej nie pokazała...

— Pewnie poszła do swojego pokoju.. Zaraz ją zawołam.. Pokażno mi tę bluzkę, Julciu..

Anielka z zadowoleniem skonstatowała, że ciemnoniebieski „electrique" odcień jest doskonale dobrany do barwy oczu Józi i jej białej, matowej cery... Przyszłej pani Michnikowej ślicznie będzie w tej miękkiej wełnie.

— Poczekaj, Julciu... Już idę po pannę Józię.

Kiedy Anielka weszła do pokoju przyjaciółki, Józia nie obejrzała się, nie poruszyła się nawet.

Łokcie wsparła na stole, palce zatopiła w swoich gęstych, połyskliwych włosach i tak siedziała nieruchomo.

Walczakowa dotknęła jej ramienia, dziwiąc się nieco w duchu tak głębokiemu zamyśleniu.

— Józiu, chodź przymierzyć bluzkę... Julka czeka...

Józia powoli, jakby budząc się z uśpienia, podniosła głowę.

— Co?.. Co?.. Czego chcesz?... O co chodzi?...

Walczakowa przeraziła się jej wyglądem. W bladej, jak płótno, twarzy dziewczyny świeciły fosforyzującym blaskiem oczy, wokół których zarysowały się ciemne obrączki, świadczące o jakiemś niezwykłem wstrząśnieniu nerwowem.

— Boże wielki!.. Józiu, co tobie?! Jakeś ty się zmieniła przez tak krótki czas!.. Co się stało?... Józka! Ty nie rozumiesz, nie słyszysz, zdaje się, co ja mówię do ciebie... Tyś chora chyba!..

— Anielko!... Anielko!... Gdybyś wiedziała!...

— No, to mówże, niech się dowiem nareszcie!... Cóż tam znowu nowego?!...

— Masz!... Czytaj!... Czytaj!... O! Jakam ja nieszczęśliwa!... Boże mój! Boże!...

Młoda kobieta wzięła z ręki Józi arkusik i szybko przebiegła oczyma króciutki list.

„Józiu! Józiu serdeczna!... Wiem, że straciłem prawo, by pisać do Ciebie, a jednak... Leżę chory, podobno ciężko chory w sanatoryum w Zakopanem. Zre mnie tęsknota straszliwa, tęsknota za Tobą. Gdybym Cię mógł zobaczyć! Nie śmiem marzyć o tem, a piszę, bo cierpię, cierpię bardzo.

Józiu! Czy Ty pamiętasz jeszcze nasze praskie czasy?...

Konrad".

Anielka w pierwszej chwili sama nie wiedziała, co rzec przyjaciółce. Żal jej było Żarnickiego, bo czuła, że list jest szczery, a jednocześnie ogarniał ją gniew na niego, że mąci spokój Józi i tak egoistycznie wyciąga po nią rękę wtedy, kiedy mu się stała potrzebną.

Przypomniał się jej Michnik, bezgranicznie zakochany, niewolniczo oddany narzeczonej.

Nie wahała się już dłużej, co powiedzieć Józi.

— Józieńko! — rzekła kładąc pieszczotliwym, macierzyńskim ruchem rękę na włosach dziewczyny — Rozumiem, że ci może być przykro... że ten list wstrząsnął tobą silnie... Ale musisz to sobie wyperswadować, maleńka moja...

— Anielko! On jest chory!... Rozumiesz? Chory i wzywa mnie!...

— Żarnicki, o ile wiem, jest człowiekiem zamożnym i ma rodzinę... Nie braknie mu troskliwej opieki... Musi wyzdrowieć bez ciebie... Zresztą co tu dużo mówić, ty do niego pojechać nie możesz, ani nawet odpisać mu nie powinnaś!...

— On tęskni za mną!...

— A ty, Józiu, czyś nie tęskniła?

— Och! I jak jeszcze!...

— Czyś nigdy go nie wzywała: Przyjedź! A on, choć mógł, nie przyjechał...

— Prawda!...

— Więc widzisz, jak bardzo zawinił wobec ciebie...

— Ja także zawiniłam!.. Sądziłam za prędko, za porywczo... Drażniłam go!.. Zresztą wszystko jedno, kto więcej zawinił!... On mnie chce widzieć!...

— Józiu! Tyś chyba oszalała! Zapominasz, że jesteś narzeczoną Michnika! — rzekła Anielka, zdejmując rękę z głowy przyjaciółki i spoglądając na nią surowo.

— Tak! Narzeczoną, ale nie żoną jeszcze! — wybuchnęła Józia, zrywając się z krzesła z krwistym rumieńcem na twarzy, z falującą gwałtownie piersią.

— Józiu! Co to znaczy?!

— Anielko!... Słuchaj..

— Nie! Nie chcę teraz słuchać, bo mówisz jak nieprzytomna, pod wrażeniem chwili!... Nie mogę i nie chcę wierzyć, żebyś ty tak lekkomyślnie rzucała swojem słowem, żebyś tak igrała z sercem, a może i życiem zacnego człowieka, który cię kocha nad wszystko, prawdziwie cię kocha!... Józiu! Pomyśl! Oprzytomnij! Toż za dwa tygodnie twój ślub!...

— Wiem... wiem... pamiętam o tem!... Och! Boże!...

— Józka, słuchaj! Powiem ci szczerze, co o tem wszystkiem myślę!... Ten Żarnicki, to egoista skończony!... Przez tyle czasu czy zatroszczył się o ciebie, czy zapytał, co robisz, co czujesz, jakie masz życie? Powiedz, zatroszczył się?...

— Nie!...

Krążyły teraz obie po pokoju wzburzone, zgorączkowane, mijając się co chwila.

Anielka wreszcie uspokoiła się trochę i ciągnęła dalej:

— Widzisz! Teraz on ciebie wzywa, nie pytając, nie troszcząc się wcale, jakie to skutki pociągnie dla ciebie... Wzywa cię — daruj, bo może ci to będzie przykrem — nie miłością powodowany, ale kaprysem użycia, chimerą chorego człowieka... Sama mi mówiłaś, że cię męczył, że ci dokuczał, a teraz zapominasz o tem wszystkiem... Dziewczyno, zlitujże się nad Michnikiem i sama nad sobą... Z tym listem powinnaś o! To zrobić!...

Walczakowa z dosyć rzadkiem u niej uniesieniem pochwyciła list Żarnickiego i podarła w drobne kawałki.

Józia patrzyła na to, jakby obojętnie, nie protestowała, nie okazała żadnego gniewu, ni wzburzenia.

Zdawało się, że się już uspokoiła, i przycichła. Oczy jej przygasły, zatrzymała się i oparła o poręcz fotelu.

— Tak! Masz szłuszność, Anielko. — powiedziała bezdźwięcznie.

Ustami przyznawała słuszność starszej przyjaciółce, może zresztą własny rozsądek szeptał jej te same perswazye, ale... Józia nie zwykła rządzić się rozsądkiem...

— Zrozumiałaś to więc, Józieńko, no to dobrze — rzekła Walczakowa bardzo miękko i przyciągnęła ją ku sobie...

Tonem troskliwej, pobłażającej mateczki mówiła teraz cicho, szeptała prawie:

— Wiem, że Józię boli serduszko, bo kochała Żarnickiego pierwszą miłością, a taka miłość przypominać się lubi... Ale, choćby trochę przecierpieć trzeba było, musisz, moje dziecko... Michnik przywiązaniem całego życia wynagrodzi ci to... On tylko o twojem szczęściu, o twojem zadowoleniu myśli...

Józia głowę wsparła na ramieniu Walczakowej i nic nie odpowiedziała

— Przestańże się już dręczyć, przestań o tem myśleć, Józieńko... Chodź! Przymierzysz bluzkę, to cię rozerwie... Ty przecież lubisz ładne gałganki... Zajmiesz się robotą jakąś i będzie dobrze... Rozweselisz się zaraz...

Józia wysunęła się z objęć Walczakowej i chwyciła się obiema rękami za głowę...

— Dobrze! Dobrze... Anielko... tylko nie teraz... Boże! Jakże mnie strasznie rozbolała głowa!.. Anielko, proszę cię, nie gniewaj się, ale zostaw mnie teraz samą!...

— Ależ dobrze!... Może zażyjesz aspiryny albo napijesz się gorącej herbaty z cytryną?

— Nie, dziękuję!... Niczego mi nie potrzeba, tylko spokoju, ciszy i samotności!...

— Dobrze, Józiu, rozumiem... Musisz się uspokoić... Już odchodzę...

— Moja najdroższa, proszę cię, niech nikt tutaj nie przychodzi dopóki sama nie wyjdę...

— Dobrze! Nikt ci nie będzie przeszkadzał!... Prześpij się trochę, połóż...

— Tak! Położę się...

Zaledwie za Walczakową zamknęły się drzwi, Józia rzuciła się na dywan i gorączkowo poczęła zbierać rozsypane kawałki listu.

Zebrała je starannie, a potem, leżąc ciągle na dywanie, przykładała jedne do drugich i usiłowała odcyfrować przedarte słowa.

Wkońcu zgarnęła te wszystkie świstki do ręki, przycisnęła je do ust i zaniosła się żałosnym płaczem.

— — — — — — — — — — —

— Panno Helu, czy pani chce, żebym pani przeczytał coś ładnego? — pytał Ludwik Rażycki, usiłując spojrzeć prosto w czarne oczy, które zdawały się unikać jego wzroku.

Hela w milczeniu skinęła głową.

— Tak dawno już razem nie czytaliśmy, bo pani się ciągle wymawiała to brakiem czasu, to bólem głowy...

— Ależ, dlaczego pan sądzi, że się wymawiałam? Istotnie, cierpię na bóle głowy, no i zajęcia mam dużo...

— Przypuśćmy... — roześmiał się z przymusem Rażycki — Błogosławieni, którzy wierzą... Pani mnie uważa, jak widzę, za bardzo naiwnego.. No, ale teraz nie mówmy już o tem... Proszę słuchać, bo to będzie coś bardzo ładnego i nawet nie z książki będę czytał, ale z mego notatnika.

Przysunął się z krzesłem bliżej stołu, na którym paliła się lampa. Wyjął z kieszeni notatnik, otworzył go i przyciszonym, umiejętnie modulowanym głosem zaczął czytać:

„A jak ja pojadę
i pomaszeruję — — —
Wtenczas tobie, najmilejsza,
W ranne słonko,
W ranną ciszę,
Długi list napiszę.
Napiszę ci na listeczku
Proste, szczere słowa:
Żegnaj mi, najukochańsza,
I bądźże mi zdrowa...
Napiszę ci na listeczku
W smutku, ze łzą w oku,
Że mi dali mundur szary
I szablę do boku...
Jak już będę maszerował
Na śmiertelne boje,
Napiszę ci krwią serdeczną,
Że to o nieswoje..." *)

Ludwik skończył, a Heli zdało się, że to umilkła przecudna, żałosna muzyka, drżąca skargą polskiego żołnierza, który maszeruje na „śmiertelne boje" i listy „krwią serdeczną" pisze.

Coś zdławiło dziewczynę w gardle i zapiekło ją pod powiekami...

Było jej tak, jakby Ludwik nie słowa poety powtarzał, ale sam od siebie przypominał jej, że może i on niezadługo już pojedzie i pomaszeruje...

Jakby się skarżył że przyjdzie mu odejść „w smutku, ze łzą w oku" i poza sobą zostawić chwile szczęścia nieprzeżyte i słowa miłości niewymówione...

A to ona sama chłodem swoim i udaną obojętnością mrozi, zabija te słowa, które z serca rwą się na usta.

Ale tak być musi... Bo ilekroć zrywał się w Heli silniejszy bunt i zbierał żal za tem szczęściem wprzód utraconem, nim zdobytem — wtedy, jak widmo groźne, tragiczne, stawało między nią a Ludwikiem wspomnienie Kornelii z oczami z orbit wyskakującemi, z twarzą straszliwie skrzywioną, z ustami rozwartemi do krzyku rozpaczy.

Nie i nie!...

— Jak się pani podobał ten wiersz? — zapytał przytłumionym głosem Ludwik, zamykając notatnik.

— Śliczny... Takie to proste, szczere, jak smutne... — odpowiedziała równie cicho.

Rażycki przechylił głowę i, wpatrując się w Helę, od której oddzielała go cała długość stołu, powtórzył miękko i pieściwie:

„A jak ja pojadę
i pomaszeruję — — —
Wtenczas tobie, najmilejsza,
W ranne słonko
W ranną ciszę,
Długi list napiszę..."

— Nie!... — wyrwało się nagle z ust Heli, do pobladłego koralu podobnych...

Jednym skokiem Ludwik znalazł się przy niej.

— Co?! Co znaczy to nie?!... Co pani odrzuca, co pani odpycha od siebie?!... Panno Helu! To brzydkie słowo: nie... i od brzydkich myśli pochodzi.. Panno Helu...

Hela zerwała się z krzesła i pilnie coś koło lampy poprawiać zaczęła.

— Widzi pan — rzuciła po chwili, zdobywając się z trudem na ton swobodny — nie wierzy pan

*) Wiersz Stanisława Stwory.

w moje bóle głowy, a to one sprawiają, że czasem zaczynam mówić sama do siebie... plotę coś trzy po trzy, od rzeczy...

— Pani nie jest szczera! — rzucił Różycki prawie ostro, nerwowym ruchem chwytając jakąś książkę, leżącą na stole.

— Ależ, dlaczego?... Przywiduje się panu! — odpowiedziała Hela, nie patrząc na niego i ciągle robiąc coś przy lampie.

Ludwik nie był dyplomatą, a przy swojej porywczej, zapalnej naturze, zaczynał już mieć dość tego dręczącego wahania.

Co się stało Heli?! Dlaczego się tak zmieniła?... Przecież teraz wyraźnie unika go, a jednak przyjemności to jej nie sprawia, bo zmizerniała i posmutniała.

— Pani się zmieniła bardzo...

— Cóż w tem dziwnego. Człowiek się ciągle zmienia... rozwija...

— Och! Niechże mi pani nie wygłasza wykładu o ewolucyi! Nikt się nie zmienia tak nagle i tak bez powodu...

— Powody zawsze jakieś być muszą... O! Jak się ta lampa ciemno pali, nie mogę sobie z nią dać rady! Nie umiem lampy porządnie oczyścić!.. Strasznie kiepska ze mnie gospodyni, nie tak, jak Kornelka Witowtówna... Ta, to prawdziwy ideał praktyczności!...

Ludwik z gniewem zgniótł w zębach papierosa, którego właśnie zapalał.

— Panna Witowtówna istotnie musi być dla pani ideałem, bo pani ciągle mówi o niej, zwłaszcza od czasu jej w Zalesinkach wizyty.

— Mało jest ludzi, dla których miałabym równy szacunek i sympatyę!... Ja wogóle mam usposobienie trochę samotnicze i przyjaciółek nie miewałam nigdy, ale Kornelka...

— Proszę pani, czy nie moglibyśmy mówić o czemś więcej interesującem, niż... niż panna Kornelia?

— Ależ, ona jest bardzo interesująca!

— Jak dla kogo! Przyznaję jej, że jest zacna, poczciwa, praktyczna, uczynna, że posiada cały zasób cnót i zalet, ale, żeby miała być interesującą, na to się nie zgodzę!

— Powierzchownie pan sądzi! — szepnęła Hela.

— A pani chciałaby, żebym sądził głębiej? — zagadnął, bystro spoglądając jej w oczy.

Nowa myśl zaświtała mu w głowie.

— To Kornelia tkwi w tem wszystkiem — pomyślał — To od czasu jej przyjazdu Hela tak się widocznie zmieniła... Co ona jej naplotła?... Wie o mnie niejedno... Może umyślnie coś przesadziła, przejaskrawiła... Mogła w tem mieć swoje wyrachowanie... Niby wielce poczciwa, ale ktoby tam ufał babskiemu językowi, zwłaszcza, gdy...

Ludwik gubił się w przypuszczeniach. Co właściwie Witowtówna mogła powiedzieć Heli?

Nie miał przecież żadnej zbrodni. ani występku na sumieniu, nie popełnił nic specyalnie złego, nic takiego, czegoby kobieta tak intelligentna, jak panna Lidzińska, zrozumieć i przebaczyć nie mogła.

Przecież od pierwszej chwili poznania był szczerym, maski nie nakładał i nie usiłował wydać się lepszym, niż był i jest.

A teraz nagle...

— Czy pani rozmawiała o mnie z panną Kornelią? — zapytał Ludwik z pozorną obojętnością.

— Niewiele... trochę! O! Ona jest panu bardzo... bardzo życzliwa! — zapewniała Hela tak gorąco, że... aż za gorąco.

— Tak... bardzo życzliwa! — powtórzył Ludwik z roztargnieniem.

Omal nie wyrwało mu się: „Oby nie zanadto!“ Hela przestała podkręcać lampę, usiadła przy stole i machinalnie zaczęła przewracać kartki jakiejś książki.

— Pani dzisiaj znowu nie w humorze... Pewnie znowu głowa boli? — rzucił Ludwik ironicznie.

— Rzeczywiście... trochę!

— Zatem delikatna wskazówka, żebym się wyniósł... Nie będę pani dłużej przeszkadzał... Już idę.

— — — — — — — — — — — — —

Zły i zgryziony wyszedł Ludwik Różycki z chaty Dorulowej.

Czapkę nacisnął na uszy, płaszcz gumowy zapiął szczelnie, bo wiatr dął straszliwie i siekł gęsty „kapuśniaczek“.

Utykając po rozmaitych dziurach i chwilami zapadając się w błoto po kostki, brnął przez rozmiękły grunt.

Nie obejrzał się ani razu, to też nie widział, że uchyliły się drzwi od sieni i na progu ukazała się smukła postać.

Była to Hela, która wybiegła, gnana niepowstrzymaną chęcią, żeby zobaczyć go jeszcze.

Wśród ciemności jasny płaszcz Ludwika, podrywany wiatrem, migotał fantastycznie.

Już otwierały się usta dziewczyny, aby wyrzucić w milczenie tego rozpłakanego wieczoru jesiennego krzyk serca:

— Wróć!... Nie odchodź!...

Ale w tej chwili w zaroślach, nad rzeką, wiatr zajęczał przeraźliwie: Oooo!... jakby jęk ostatni kogoś, kto ranny śmiertelnie, kona... jak krzyk Kornelii... ten jeden jedyny... krótki krzyk rozpaczy.

Hela zacisnęła zęby, że aż zgrzytnęły.

Nie zawołała i pozostała tak, wsparta o odrzwia, zapatrzona w nieprzejrzaną ciemność, zasłuchana w jękliwą pieśń wiatru.

Wieczór był wietrzny, deszczowy, otchłannie czarny, prawdziwy wieczór jesienny, pełen jakiejś niewypowiedzianej melancholii, która rozstroić może najsilniejsze nawet nerwy.

Ludwik Różycki określał taki nastrój mianem „wściekłej“ melancholii, dodając, że tego określenia nie zrozumie należycie nikt, kto takiego wieczoru jesiennego nie przeżył na wsi.

Ta bezdenna, beznadziejna melancholia wiała teraz ku Heli z ciemności, wśród których przyzwyczajone oko rozróżnić mogło widmowe zarysy smutnych, gołych drzew, deszczem smaganych. Wśród zarośli, po gałęziach drzew, w kominach chałup hulał wiatr, jęcząc i płacząc na różne tony.

To zawodził przejmująco, niby kobieta skrzywdzona, w zimną, ciemną noc na poniewierkę wygnana — to jęczał żałośnie, jak chore dziecko — albo też wył przeraźliwie, jak głodne, rozwścieklone zwierzę.

Z jękiem i świstem wiatru łączyło się co jakiś czas przeciągłe wycie zziębniętych psów łańcuchowych.

Wokół pustka. Nigdzie nie widać postaci ludzkiej, nie słychać głosu ludzkiego. Nic... tylko to granie wichru i wycie psów i jednostajne, dokuczliwe sieczenie deszczu.

W czarnej pomroce giną niskie domy, rzadko rozsiane.

Gdyby nie jedno i drugie światełko, które słabo błyszczy w mglistem powietrzu — to zapomniećby można, że tutaj są wogóle siedziby ludzkie, że ludzie tutaj żyją, krzątają się, jedzą, gwarzą, a może śmieją się wesoło.

Niedługo i te mdłe światełka pogasną, zapanuje ciemność, czarna jak grób. Wieś utonie w mroku.

Jakiś nieokreślony, bezrozumny strach chwytał Helę za włosy.

Prawem kontrastu, wyobraźnia stawiła jej przed oczy obraz jasno oświetlonych, gwarnych ulic, rozsnuła wizyę wnętrza jakiejś kawiarni ciepłej, jasnej, ludnej.

W tej chwili zatęskniła Hela mocno za tem wszystkiem, co tak ochotnie rzuciła.

Gdyby mogła znaleźć się teraz gdzieś w tłumie, wśród gwaru, ruchu, świateł — to możeby łatwiej stłumiła duszy ból serdeczny.

Ale tutaj, samotność, pustka, ciemność i smutek, smutek bez końca.

Skrzypnęły drzwi od izby. Do sieni weszła Dorulowa, niosąc w cebrzyku jedzenie dla prosiąt.

— O la Boga! A czegój to panienka tak stoi? A dyć panienka się na nic przeziębnie i przemoknie!... Szkaradny dzisiaj czas. O! Jak to wiatr hulo i psiska wyją, aże strach bierze... Starzy ludzie godają, że w taką nockę to się zawdy ktoś obwiesić musi.

Hela wzdrygnęła się, rzuciła gospodyni krótkie „dobranoc“ i wróciła do swego samotnego mieszkania.

— — — — — — — — — — — — —

Kiedy Ludwik wrócił do domu, Walczaków zastał już przy stole. Tylko Józi nie było.

Lokaj, wnoszący półmisek z mięsem, zetknął się we drzwiach ze służącą Antosią.

— Proszę pani dziedziczki — rzekła dziewczyna — panienki niema w jej pokoju. Pukałam. panienka się nie odzywała, więc weszłam, ale panienki nie było.

— Może panienka jest w garderobie przy krawcowych, albo poszła do kuchni?...

— Nie, proszę pani. tam panienki także niema.

— Gdzież by ona być mogła? — rzekła Anielka, jakby sama do siebie, jednocześnie nakładając jedzenie na talerz mężowi.

— Może poszła gdzieś z Michnikiem? — zauważył Walczak.

— Ależ, skądże? Przecież Michnika niema dzisiaj w Zalesinkach. Wziął urlop na trzy dni i pojechał do miasta, bo ma jeszcze mnóstwo sprawunków do załatwienia. Chyba, żeby Józia była u panny Lidzińskiej.

— Wykluczone! — odezwał się Ludwik — Wracam właśnie od panny Lidzińskiej. Zresztą panna Józia nigdy nie chodziła do niej. Te panie jakoś niebardzo sympatyzują ze sobą.

— Może się mylisz, Antosiu — zwróciła się Walczakowa do służącej — Może panienka jest u siebie, tylko zasnęła twardo, bo ją bardzo głowa bolała...

— Nie, proszę pani dziedziczki. Niema... Przecież zaświeciłam zapałkę i patrzyłam. Na stole stoi kawa, chleb, masło, tak, jak przyniosłam na podwieczorek... Panienka nic nie zjadła...

Anielkę ogarnął nagle niepokój. Szybko wstała z krzesła.

— Moja Antosiu, powiedz wszystkim, niech szukają panienki po całym domu i ogrodzie.

— Ale, gdzieżby, proszę pani dziedziczki, panienka szła teraz do ogrodu? Przecież ciemno, choć oko wykol, deszcz pada i wiatr dmie...

— Wszystko jedno, trzeba szukać wszędzie... Ja pójdę jeszcze zobaczyć do jej pokoju.

— Czego ty się właściwie tak lękasz, Anielko? — zapytał Walczak, spoglądając ze zdziwieniem na żonę — Przecież Józia nie małe dziecko... Cóżby się jej stać mogło... Siadaj i jedz!

— Ach nie! Kaziu!... Pójdę, zobaczę... Jestem czegoś niespokojna...

Walczakowa, tknięta jakiemś niedobrem przeczuciem, pobiegła raczej, niż poszła do pokoju Józi.

Szybko otworzyła drzwi. W pokoju było ciemno i cicho.

— Józiu! — zawołała.

Żadnej odpowiedzi.

Poomacku zaczęła szukać zapałek. Znalazła je wreszcie i zapaliła świecę. Podniosła świecznik do góry, rozejrzała się wokół. Rzuciła spojrzenie na łóżko, na sofę.

Józi nie było. Pokój był pusty. Na stole stała tacka z nietkniętem podwieczorkiem, a obok niej bielała nierówna, obstrzępiona, widocznie z zeszytu jakiegoś wyrwana kartka papieru, na której widniało kilkanaście słów, pospiesznie jakby, bo chwiejnie i niedbale skreślonych.

Walczakowa poznała pismo Józi. Pochwyciła kartkę i zbliżyła ją do światła świecy.

„Anielko, nie potępiaj, przebacz! Powiedz Michnikowi niech i On przebaczy. Choćbym nie chciała, muszę. On jest chory, wzywa mnie. Twoja biedna Józia.“

— Boże wielki!

Anielka już zrozumiała, co się stało, ale jakby nie dowierzając samej sobie, pobiegła do szafy i szarpnęła jej drzwiami.

Wszystkie suknie i okrycia Józi wisiały w szafie, brakowało tylko popielatego podróżnego płaszczyka.

Gorączkowo szukając nowych dowodów, otworzyła pudełko z kapeluszami. Nie było zielonej irchowej czapeczki, którą Józia zwykła była nosić na deszcz.

Znikła z pokoju także, zawieszona zawsze przy toaletce, torebka ręczna, w której Józia przechowywała portmonetkę z pieniądzmi, chusteczkę i rozmaite drobiazgi.

Nie można było dłużej wątpić.

— Kaziu! Kaziu! Ludwisiu! — wołała na cały głos, biegnąc do jadalni — Na miłość Boską, radźcie, co robić? Józia uciekła!

— Co?!!...

Obaj mężczyźni zerwali się od stołu.

— Uciekła?! Dlaczego?! Dokąd?! — wołał przerażony Walczak.

— Sama nie wiem dokładnie. Chyba do Zakopanego!

Z kim uciekła?! — zapytał Ludwik, który szybciej zoryentował się w tej niespodziance.

— Sama!...

— Więc do kogo?!

— Do... no tego Żarnickiego, co to wiesz... Ach! Boże, że mi to nie przyszło do głowy. Macie, czytajcie. Ale prawda, wy nic z tego nie zrozumiecie... Nie wiecie, o co chodzi... Józia dzisiaj dostała list...

W krótkich, urywanych zdaniach powiedziała treść listu Żarnickiego i swoją rozmowę z Józią.

— Szalona! Nieszczęsna dziewczyna! Co ona zrobiła? Boże! W taką pogodę, deszcz, wiatr, poszła piechotą w cienkich bucikach, w domowej sukni. Jeszcze się przeziębi, zachoruje! Kaziu! Trzeba zaprzągać konie, jechać na stacyę! Może ona tam czeka jeszcze!...

— Za późno! Pociąg już odjechał!...

— Jezus, Marya! Jezus, Marya! Co tu robić?...

— Ładnie się spisała twoja pupilka! — zadrwił Ludwik — Ciekawa rzecz, co teraz powiesz Maliniewiczowi i Michnikowi?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon wybitnego lekarza i uczonego.

Uniwersytet krakowski, a z nim i cała nauka polska, opłakuje znowu bolesną stratę. Nieubłagana śmierć, która w ostatnich trzech latach tak obfite żniwo zebrała wśród grona nauczycielskiego naszej *Almae Matris*, przecięła w dniu 19 lutego bieżącego roku pasmo dni żywota doktora Stanisława Dobrowolskiego, nadzwyczajnego profesora położnictwa i dyrektora c. k. Szkoły położnych. Zmarł w pełni sił męskiego żywota, licząc zaledwie czterdzieści trzy lata, a zszedł z nim do grobu uczony, rokujący najpiękniejsze nadzieje i nader sumienny i uzdolniony lekarz.

Zmarły profesor urodził się w roku 1874, gimnazyum św. Jacka w Krakowie ukończył w roku 1891, doktorat zaś uzyskał w roku 1897. Po dłuższym przeciągu czasu, bo w roku 1908, został profesorem Szkoły położnych. W kilka lat potem habilitował się na docenta położnictwa i ginekologii, wkrótce zaś został profesorem nadzwyczajnym uniwersytetu Jagiellońskiego, a w roku 1910 prymaryuszem szpitala św. Łazarza. Od samego początku wojny był zatrudniony w służbie wojskowej, a praca ta wyczerpała jego siły, powodując ciężką chorobę, która też wtrąciła go do grobu.

Zmarły był autorem wielu prac naukowych z zakresu swej specyalności, które mu zjednały rozgłos w świecie naukowym. Między innemi był ś. p. Dobrowolski autorem dwóch podręczników z zakresu położnictwa, z których jeden był częściowo napisany wspólnie z ś. p. profesorem Jordanem.

Dowodem sympatyi, jaką ś. p. Zmarły zaskarbić sobie potrafił pośród najszerszych sfer naszego społeczeństwa, był pogrzeb, który się odbył w dniu 21. bieżącego miesiąca z domu żałoby przy ulicy Podwale wprost na miejsce wiecznego spoczynku. Wzięły w nim udział tłumy publiczności, między innymi: ks. biskup Nowak, namiestnik Galicyi, ekscellencya baron Diller, delegat namiestnictwa, dr. Adam Fedorowicz, prezydent miasta, ekscellencya dr. Leo, z gronem radców miejskich, rektor Uniwersytetu, dr. Szajnocha, z członkami senatu i licznem gronem profesorów, lekarze krakowscy cywilni i wojskowi prawie w komplecie i wiele innych wybitnych osobistości.

Kondukt pogrzebowy prowadził profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, ks. dr. Sieniatycki, w asystencyi licznego duchowieństwa świeckiego i zakonnego.

Przemówień, na wyraźne życzenie rodziny Zmarłego, nie było.

Z ruchu oświatowego w Królestwie Polskiem.

Akcya, podjęta w Królestwie na polu szkolnictwa średniego i elementarnego, staje się z każdym dniem



Z ruchu oświatowego w Królestwie Polskiem: Grupa dzieci szkolnych, biorących udział w przedstawieniu „Jasełek" w Zamościu.

niemal żywszą i rozleglejszą. Mnożą się szkoły rozmaitego typu, skupiają koło siebie liczną młodzież i wydatną swą działalnością. tem bardziej uznania godną, że w trudnych prowadzoną warunkach, rozpoczynają chlubnie pierwszy okres odnowionego polskiego szkolnictwa.

W powiecie zamojskim istnieje około sto pięćdziesiąt szkół początkowych, które skutecznie pracują około podniesienia — z konieczności dotąd zaniedbywanej — oświaty powszechnej. W Zamościu istnieją trzy zakłady średnie, do których licznie ściągają uczniowie, przez dwuletni niemal okres czasu szkół średnich pozbawieni. Dzięki szczęśliwemu pomieszczeniu w murach słynnej Akademii Zamojskiej, mogły owe zakłady nawiązać swą pracę dzisiejszą do pięknych tradycyi polskiej nauki i polskiego nauczania.

Dnia 2. lutego bieżącego roku dzieci szkolne z Chomęcisk odegrały w Zamościu prześliczne „Jasełka" w układzie p. Ludmiły Namysłowskiej, czynnej i zasłużonej opiekunki miejscowej szkoły. Piękną, na swojskich motywach osnutą muzykę, dorobił do nich znany i w Galicyi artysta skrzypek i świetny instruktor kapeli włościańskiej, p. Stanisław Namysłowski. Przepełniona publicznością sala żywymi oklaskami dziękowała zarówno inicyatorom, jak i wykonawcom tego niezmiernie miłego widowiska.

Podobną uroczystość obchodzono w tamtejszej szkole miejskiej. I tam odegrały dzieci Jasełka i święciły jednocześnie pamiątkę powstania styczniowego. Po uroczystości uboga młodzież tej szkoły obdarzona została ciepłą odzieżą i obuwiem.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze fotografie przedstawiają młodzież publicznego gimnazyum realnego i seminaryum nauczycielskiego, oraz uczenice prywatnego gimnazyum wraz z gronem nauczycielskim i inspektorem krajowym, dr. M. Reiterem i dyrektorem Kazimierzem Lewickim. Prócz tego załączamy fotografie, przedstawiające „Jasełka" pp. Namysłowskich i „Jasełka" szkoły miejskiej w Zamościu.



Z ruchu oświatowego w Królestwie Polskiem: „Jasełka" w Zamościu.

Sport narciarski w roku 1917.

O pięknych polskich zimach, o polach, borach i łąkach, spowitych śnieżnym całunem, o mroźnych okowach lodowych, wiążących nawet rozhukane strumienie, o zgłodniałych wilkach i niedźwiedziach, skradających się do ludzkich sadyb za pożywieniem — pisały niegdyś kroniki. Od kilkunastu lat zdało nam się to tylko bajką lub bezpodstawnem marzeniem. Pojęcie zimy streszczało się nam w szarych krótkich dniach, w szarugach kilkodniowych, przeplatanych dniami pogodnymi o temperaturze, która czasem spadała do 2° Jeżeli śnieżne gwiazdeczki sypnęły się z nieba i blaskiem swym kryształowym rozradowały serca i rozbudziły w dzieciach i młodzieży ten pęd ku ruchom i zabawie na śniegu, który snać tkwi w nas, jako dziedzictwo po ojcach i praojcach naszych, to za te dwa lub trzy dni zimowej rozkoszy — jakby pokuta — spadała na nas odwilż i słota.



Z ruchu oświatowego w Królestwie Polskiem: Uczniowie publicznego gimnazyum realnego i seminaryum nauczycielskiego w Zamościu wraz z gronem nauczycielskiem.

Po najróżnorodniejszych dociekaniach i rozważaniach naukowych nad przyczyną tych zmian atmosferycznych, tych zim niezimowych, zim rozmnażających miliony zdradliwych bakteryi — zima roku 1917 zgotowała nam niespodziankę, roztaczając przed nami cały urok dawnej polskiej zimy. I gdyby nie wojna, podczas której śnieżyce i mrozy stają się nową klęską, potęgując jeszcze trudy i męczarnie walczących w polu bohaterów, z jakąż radością witalibyśmy tę białą, mroźną, a dziś — wśród okropności wojennych — tak srogą królowę! Przyszła jednak w pamiętnym roku 1917 i okryła ziemię swym



Z ruchu oświatowego w Królestwie Polskiem: Uczenice prywatnego gimnazyum w Zamościu wraz z gronem nauczycielskiem.





Sport narciarski w roku 1917:

Z kursów Tatrz. Tow. Nar. Ćwiczenia w skoku na nartach w Jaśle. (✕ Starosta Łęczyński).

Z kursów Tatrzańskiego Tow. Narciarskiego. Jazda na nartach za sankami (Skikjöring).

białym królewskim płaszczem, srebrząc wszystko do około i obsypując milionami iskierek całą przyrodę. Jej cudną krasą rozkoszowała się przedewszystkiem dziatwa, której całe gromady uwijały się z saneczkami po alejach parków i plant i srebrnym śmiechem wtórowały dzwonkom sań, mknących po gościńcach. Powitały ją też radośnie rzesze zwolenników sportów zimowych.

Rychliwe nawet podczas wojny Tatrzańskie Towarzystwo Narciarzy urządziło na Boże Narodzenie w Zakopanem kurs dla początkujących i wprawnych narciarzy. Wojna wykazała w całej pełni wartość i użyteczność tego sportu, to też kurs zgromadził całą rzeszę uczestników różnego wieku i obojga płci. Z żalem serca żegnali narciarze tę uroczą tatrzańską krainę, którą w ostatnim dziesiątku lat para zima jako jedyną swą siedzibę sobie obrała, goszcząc w niej często aż do maja, żegnali ją w przeświadczeniu, że trudne warunki wojenne przykują ich do miejsca i nie pozwolą użyć w całej pełni rozkoszy swobodnego ruchu na śniegu.

Jakaż była ich radość, gdy już pierwsze dni stycznia ubieliły w Krakowie stoki pagórków pod Kopcem Kościuszki, na Bielanach i Panieńskich Skałach. Zaroił się las bielański od wycieczkowców, wesołe gromadki snuły się po drogach i dróżkach, rozochocone rozbawione, zapominając wobec nieprzepartego uroku przyrody o troskach i kłopotach wojny. Kto widział las w zimie — te drzewa otulone w białe chusty, te tysiączne postacie z bajki w kryształowym pałacu — kto słyszał ciszę lasu w zimie i ciszę spadających śnieżnych płatków — ten zrozumie cały urok tego królewskiego sportu, który umożliwia lot w tę krainę cudów. To też każdy dzień tygodnia, a szczególnie niedziela gromadziła całe rzesze narciarzy, którzy, po miłej wycieczce,





Sport narciarski w roku 1917:

Z kursów Tatrz. Tow. Nar. Grupa uczestników na Górze św. Marcina pod Tarnowem.

Z kursów Tatrzańskiego Tow. Narciarskiego. Wycieczka w okolice Jasła





Sport narciarski w roku 1917:

Z kursów Tatrzańskiego Tow. Nar. Grupa uczestników kursu narciarskiego w Jaśle.

Z kursów Tatrzańskiego Tow. Narciarskiego. Ćwiczenia na nartach w Jaśle.

skiköringiem za saniami wracali do miasta, zbierając czasem od wesołych, a zapewne i trochę zazdrosnych przechodniów grad kul śnieżnych na powitanie.

Mniejsze miasta, mające okolicę pagórkowatą lub górzystą, też z pełną ochotą i gorliwością zabrały się do sportu narciarskiego.



Sport narciarski w roku 1917: Z kursów Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarskiego. Uczestniczki kursu narciarskiego w Jaśle.

W Tarnowie odbył się na stokach góry św. Marcina kurs nauki jazdy na nartach, który był zaczątkiem racyonalnego uprawiania tego sportu w tem mieście. Odbijające na tle bieluchnego całunu śnieżnego sylwetki narciarzy ożywiły zimowy krajobraz góry św. Marcina, rysując na jej stokach bądź to piękne krzywe linie stylowych ewolucyi, bądź też kończąc swe zjazdy niedobrowolnymi upadkami.

Stosunkowo bardzo późno przedstawił się ostatnio ruch narciarski w Jaśle. Dogodne dla ćwiczeń zbocza wzgórz gorajowickich, położonych na prawym brzegu Jasiołki, dały wyborną sposobność do przeprowadzenia systematycznego kursu narciarskiego, w którym wzięło udział czternaście osób — liczba, jak na wojenne czasy, dość poważna. Zjazdy proste i skręty, tak alpejskie jak i norweskie, wkońcu także skoki ćwiczono pod kierunkiem wiceprezesa T. T. N. Wracano potem za sankami skikörıngiem do miasta, wesołym śpiewem i radosnymi okrzykami wywabiając cichych mieszkańców z ich domów.

Tatry i Beskidy, przedstawiające najwspanialsze tereny do wycieczek narciarskich, pociągnęły i w tym sezonie niejednokrotnie narciarzy w swe urocza. Kalwarya też mile witała „wesołych“ gości, którzy zwiedzili Lanckoronę i Skawinki. Podejmował ich serdecznie inż. Bulanda, dyrektor szkoły stolarskiej w Kalwaryi, który w produkcyę przemysłu drzewnego tej szkoły włączył też wyrób doskonałych nart.

Świeży śnieg, który pokrył dawne, już zjeżdżone podłoże, nową nadzieją krzepi serca narciarzy, obiecując im jeszcze choćby kilka dni wesołego, swobodnego hasania na świeżem, mroźnem powietrzu.

Wilhelm Backhaus.

W najbliższym czasie usłyszy Kraków jednego z najgłośniejszych współczesnych pianistów Wilhelma Backhausa. Mimo młodego wieku zdobył Backhaus, dzięki fenomenalnej technice wirtuozowskiej, niewątpliwie jedno z pierwszych miejsc wśród mistrzów gry fortepianowej.

Backhaus urodził się w Lipsku, w roku 1884 i tam kończył konserwatoryum pod wytrawnym kierunkiem S. Jadassohna, znanego teoretyka. Opuścił je, jako skończony wirtuoz, wzbudzając podziw nie tylko dojrzałością techniczną, lecz i głęboką muzykalnością, której wyrazem była zdolność transpozycyi najtrudniejszych utworów w odległe tonacye. Dla ostatecznego wydoskonalenia pianistycznego wstąpił Backhaus jeszcze na naukę do d'Alberta i przejął od niego wszystkie te świetne i znamienne cechy gry, na których się opiera nowa szkoła pianistyczna, wywodząca się od Liszta.



Wilhelm Backhaus.

Wystąpiwszy z własnymi koncertami, wywołał Backhaus od pierwszej chwili zdumienie. Zwłaszcza jego technika stała się czemś sensacyjnem. Podziwiano przedewszystkiem jego biegłość i łatwość w pokonywaniu największych trudności, nieomylność i spokój gry, a zapominano wprost o muzycznej stronie wykonania. To też przez długi czas uchodził Backhaus tylko za wirtuoza technika, za „żywą pianolę“, która ze ścisłością automatu zdoła wszystko wygrać, a nigdy nie zawiedzie. Dopiero, gdy oswojono się z mistrzowstwem tej techniki, poczęto zwolna w Backhauzie-wirtuozie odkrywać pianistę-muzyka o wyjątkowej intuicyi muzykalnej. I odtąd poczęto jego niezrównaną technikę przyjmować jako rzecz naturalną i jako środek odtwórczy w służbie muzycznego wyrazu. Backhaus stał się jednym z najlepszych wykonawców mistrzów klasycznych; stał się tłumaczem piękna, zamkniętego w dziełach Beethovena, Schumanna i Brahmsa. Zwłaszcza Beethoven zyskał w nim idealnego interpretatora. Ostatnie sonaty beethovenowskie, stanowiące niedostępny świat muzyczny dla swoich wielkich trudności, zajmują w programach Backhausa naczelne miejsce i dzięki jego interpretacyi stają się zwolna duchową własnością najszerszych warstw muzykalnego ogółu.

Sama zapowiedź o występie Backhausa w Krakowie wywołała też łatwo zrozumiałe zainteresowanie wśród sfer, zajmujących się muzyką.



Sport narciarski w roku 1917: Z kursów Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarskiego. Skok na nartach.





Sport narciarski w roku 1917:

Z kursów Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarskiego. Na zakręcie.

Z wycieczek Tatrzańskiego Tow. Narciarskiego. W Tatrach na Hali Kondratowej.

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

4

— Czy nie miała krewnych, przyjaciół, w innem mieście? — zapytał Byrd, mając na myśli list nie dokończony, znaleziony przez koronera.

— Nie wiem nic o tem.. Ale tak... prawda, zdaje mi się, że miała gdzieś siostrzeńca... syna siostry, zmarłej przed kilkoma laty. Słyszałem nawet, że kochała bardzo tego chłopca i nosiła się z myślą uczynienia go swoim sukcesorem.

— Pani Clemmens była więc majętną?

— Mówią, że ma pięć tysięcy dolarów, złożonych w banku, ale do tych kwestyi, widzi pan, nie można przywiązywać wielkiej wagi. Ludzie różne rzeczy mówią, aby mówić.

— Pięć tysięcy dolarów! To jednak sumka dosyć znaczna dla kobiety jej stanowiska — Czy nie jest pan mojego zdania?

— Zapewne. Zresztą, nikt nie wie, skąd miała te pieniądze. Pan Ormond wynagradzał ją dobrze, ma się rozumieć, ale toby jednak nie pozwoliło jej odkładać dziesięć dolarów tygodniowo do banku, tak, jak to zawsze czyniła. Zdaje mi się przecież, że nie miała innego źródła dochodu. Widzi więc pan, że chociaż pani Clemmens nie zajmowała się cudzemi sprawami, byli tacy, co się nią zajmowali chętnie.

Detektyw raz jeszcze pomyślał o liście, pisanym przez wdowę tego samego dnia, w którym zamordowaną została i zrobił sobie w duchu uwagę, że przecież ci, którzy się nią interesowali, za mało o niej wiedzieli.

— Kto jest ta okropna stara, którą widziałem wczoraj rano wmieszaną w tłum uliczny? — zapytał nagle. — Jakaś czarownica pomarszczona jak zeszłoroczne jabłko, ze złym uśmiechem w oczach.

— Pan zapewne mówi o Sally Perkins. Jest dosyć stara i dosyć brzydka, abym ją poznał po tym opisie. Ale, dlaczego się pan pyta o nią?

— Nie wiem doprawdy. Zwróciła moją uwagę, oto wszystko. Lubię wypytywać się o ludzi, których twarze obce mi są.

— Zapewne. Ciekawość ta wypływa z zajęcia pana. Lękam się tylko, czy w tym wypadku nie wszedł pan na błędną drogę. Stara Sally jest obrzydliwe straszydło, ale nie sądzę, aby była zdolną popełnić zbrodnię. Nie miałaby na to ani odwagi, ani siły. Zamach ten jest dokonany ręką mężczyzny.

— To jest widoczne — odpowiedział żywo detektyw.

Pośpiech, z jakim wymówił te słowa, zadziwił pana Ferris.

— Pan się bardzo interesuje tą sprawą, jak widzę — wyrzekł sucho. — Zresztą, nie powinienem się temu dziwić. Ja sam jestem silnie zaintrygowany tą sprawą, która ma w sobie wiele stron tajemniczych i niełatwych do zbadania.

Zaledwie pan Ferris opuścił młodego detektywa, zjawił się doktor Fradwell.

— Rzecz załatwiona — rzekł, wchodząc. — Będę potrzebował pana pomocy.

— Otrzymał pan odpowiedź z New Yorku?

— Nie, ale oczekuję jej w każdej chwili. Wiem, że żądanie moje nie pociągnie za sobą żadnych trudności. Znam osobiście prefekta policyi, który, wiem, że nie zechce się sprzeciwić mej prośbie.

— Ale... — zaczął Byrd.

— Nie mamy czasu nad rozważaniem żadnego „ale“ — przerwał doktor. — Musimy się zabrać energicznie do roboty. Śledztwo główne rozpoczyna się jutro rano, a my dotąd nie mamy w rękach najgłówniejszego świadka, to jest osoby, mogącej poświadczyć, że widziała kogoś, wchodzącego do Białego Domku między godziną jedenastą, kiedy to pani Clemmens rozmawiała jeszcze ze swoją mleczarką, a chwilą, w której pan Ormond ujrzał ją zamordowaną. Jest rzeczą niezaprzeczoną, że taka osoba istnieć musi. Przechodząc ulicą do mieszkania wdowy, morderca musiał być widzianym choćby przez jednego mieszkańca ośmiu domków, znajdujących się tam, lub najbliższego sąsiada.

Prawdą jest, że ci wszyscy, których zapytywaliśmy już, twierdzą, że w tej porze siedzieli przy śniadaniu, lub w kuchni, jednakże nie przeszkodziło to niektórym dojrzeć przechodzącego włóczęgę. Dwóch świadków zeznało, że widzieli go, zbliżającego się do Białego Domku. Widzi więc pan, że skoro się śledztwo przeprowadzi raz jeszcze dokładnie w tym kierunku, wypłynąć muszą z tego szanse, mogące nam ułatwić wyjaśnienie sprawy.

— Tak, ale musielibyśmy w takim razie mieć pewność, że morderca szedł ścieżką, prowadzącą pomiędzy domami. A czy nie mógł podejść od tyłu, właśnie dlatego, aby ujść uwagi sąsiadów?

— To mało prawdopodobne. Z tamtej strony niema dostępu, tylko, jak już zauważyliśmy, teren bagnisty i niebezpieczny do przebycia. Nie mówię, ażeby to było wręcz niemożliwe — dodał koroner z wahaniem, dostrzeżonem natychmiast przez Byrda. — Ale mamy jeszcze dosyć czasu na rozwiązanie tej hypotezy, skoro przekonamy się, że nikt nie widział nikogo, wchodzącego między jedenastą a dwunastą godziną głównem wejściem do ogródka.

— Pan badał tego włóczęgę? Czy wyjaśnił, dlaczego nie wszedł do mieszkania pani Clemmens, bo taki widocznie był jego pierwszy zamiar?

— Utrzymuje, że wstrzymał go odgłos kłótni.

— Ah! Czy powiedział panu, jakie to były głosy?

— Nie. To zresztą biedaczysko dosyć ograniczone, a tak wystraszony jest posądzeniem, że zaledwie mówić jest w stanie. Wątpię bardzo, czy odróżniłby głos człowieka kulturalnego, od głosu zwykłego chłopa.

Detektyw zadrżał lekko. Nie oczekiwał takiego wyjaśnienia na zadane pytanie.

— Ale mam tu coś jeszcze — rzekł doktor Fradwell wyciągając kawałek papieru z kieszeni. — Oto nazwisko osoby, o której trzeba się poinformować.

W chwili, w której doktor wymawiał to zdanie, zapukano do drzwi. Przyniesiono oczekiwaną depeszę z New Yorku. Czytając ją, doktor Fradwell zmarszczył czoło. Złożył powoli papier i podając go młodemu detektywowi, rzekł podrażnionym głosem:

— A to coś nowego! Prefekt policyi odmawia mojemu żądaniu i nie zezwala na pomoc pańską.

Byrd wziął depeszę i przeczytał:

„Posyłam panu człowieka zdolnego ekspresem — jednastą. List wysłany.“

Czoło młodego człowieka zaróżowiło się lekko.

— Widzi pan — rzekł cicho — miałem słuszność twierdząc, że nie pozwolą mi zająć się tą sprawą.

— To jeszcze nie ostatnie słowo — odparł koroner powstając — Czekajmy na list. Ten człowiek, którego mi przysyłają, jest może zdolnym i intelligentnym, ale wątpię, czy będzie się lepiej od pana mógł wywiązać z zadania.

— W każdym razie dziękuję panu za dobre mniemanie o mnie — rzekł Byrd ściskając serdecznie rękę doktora Fradwella. — Byłbym się czuł bardzo zadowolonym, mogąc się panu przydać na coś, ale lękam się naprawdę, że decyzya mojego zwierzchnika będzie nieodwołalną.

— Z bacz my, zobaczymy! — odparł jeszcze koroner. — Czekajmy do jutra.

Rysownik.

Po odejściu doktora Fradwella, Byrd zatopił się w długiem rozmyślaniu. Zapytywał się przedewszystkiem, czy powinien czuć się zadowolonym, że już nie będzie potrzebował więcej zajmować się mordercą pani Clemmens. Na chwilę nawet nie wątpił, że w liście, oczekiwanym z New Yorku, mieścić się będzie rozkaz jego powrotu. Postanowienie to z jednej strony przyniosło mu ulgę niemałą, z drugiej zaś, pozostawiało w nim żal jakiś niewytłumaczony, że tak właśnie stać się musi.

Gdyby nie urok miss Darnell, który wywarł na nim wpływ głęboki i wahanie, zrodzone z tej przyczyny, odstręczające go od wyjaśnienia winy młodej dziewczyny, Byrd byłby z ochotą skorzystał z tak dobrej sposobności wykazania swoich zdolności i podjął bez namysłu nagrodę, wyznaczoną przez miasto temu, który policyę naprowadzi na ślad mordercy.

Aby cokolwiek rozerwać gnębiące go myśli, detektyw udał się do baru, znajdującego się w hotelu, gdzie już zastał dosyć dużo gości. Większa część należała do stałych bywalców, znanych detektywowi, nie zwrócił więc na nich uwagi. Ale po chwili spojrzenie jego padło na nieznajomego człowieka, siedzącego w końcu sali i zajętego, tak się mu przynajmniej na pierwszy rzut oka wydało — czytaniem dziennika.

Był to mężczyzna trzydziestoletni, o rysach regularnych i subtelnych, jasnych włosach i wysokiem czole, przeciętem teraz głęboką zmarszczką. Zdawał się nie zwracać uwagi na to, co się wokoło niego działo, pomimo silnego zainteresowania obecnych słowami młodego agenta handlowego, rozprawiającego szeroko, donośnym głosem. Opowiadał o jakiemś zdarzeniu, którego był świadkiem w ciągu swojej podróży.

— Powiadam wam — mówił — że to było coś nadzwyczajnego. Ona była taka piękna, taka wzruszająca w tem zmieszaniu, które ją niepokoiło — a on znowu taki ponury i taki stanowczy! Weszli do poczekalni, każde osobno i spotkali się niespodziewanie na środku sali. „To ty!“ — zawołała młoda dziewczyna, zakrywając twarz rękami, tak, jakgdyby ujrzała widmo. — Młody człowiek również wydał podobny okrzyk zdziwienia. Nie zakrył sobie twarzy, ale stał zdumiony, jak przykuty do miejsca, patrząc na swoją towarzyszkę oczami pełnemi zgrozy. Po chwili młoda dziewczyna, odkrywając twarz, zapytała tragicznym głosem: „Czy to mnie chciałeś widzieć?“ Takie samo pytanie padło z drugiej strony. Nagle, nie dając sobie żadnej odpowiedzi, obrócili się do siebie plecami i uciekli, jakby sam dyabeł ich gonił. Każde z nich wbiegło w drzwi przeciwległe i nie pokazali się więcej. Mało było osób w sali, ale, powiadam, moi panowie, ci, co byli świadkami tej sceny, odnieśli niemałe wrażenie. W każdym razie chciałbym wiedzieć, co to mogło znaczyć.

— Nie zobaczył ich pan już więcej, ani młodej dziewczyny, ani tamtego? — zapytał głos, nabrzmiały ciekawością.

— Owszem. Młoda dziewczyna jechała tym samym pociągiem, którym przybyłem. Tamten zaś odjechał w przeciwną stronę.

— Ah!... Doprawdy! A gdzież wysiadła? — zawołali chórem obecni.

— Nie zwróciłem na to uwagi. Była bardzo wzruszona, a jak zobaczyłem, że skwapliwie twarz zakrywa welonem, ujrzawszy mnie, oddaliłem się dyskretnie i wszedłem do przedziału dla palących. Ale już dosyć rozmowy. Pić mi się chce dyabelnie.

Mówiąc to, młody agent handlowy podszedł do stolika, znajdującego się obok tego, przy którym był Byrd i usiadł. Goście zaś pomału rozchodzić się zaczęli.

— Dziwna historya — rozpoczął detektyw, nadając głosowi ton podziwu dla połechtania próżności opowiadającego. — Chciałbym bardzo być na pana miejscu. Jestem przekonany, że znalazłbym w tej scenie przedmiot do ciekawego rysunku dla dziennika, w którym pracuję.

— Pan rysuje dla dzienników? — zapytał agent, widocznie zainteresowany.

— Niekiedy — odparł Byrd.

Było to prawdą, bo Byrd posiadał niezwykły talent rysowniczy, z którego korzystał często, w chwilach wolnych od zawodowej pracy.

— Oto dar, którego zazdrościłem zawsze — westchnął młody człowiek. — A szkoda, bo obserwatorem jestem doskonałym — dodał z przechwałką. — Kiedy jestem świadkiem takiej sceny, o której mówiłem przed chwilą, oko moje chwyta najdrobniejsze szczegóły. Przypominam sobie doskonale ruchy osób, nawet krój ich ubrania, nie mówiąc o wyrazie twarzy. Ale, gdybym chciał to wszystko przejąć na papier, to namęczę się tylko i nic porządnego nie stworzę.

— Jeden i ten sam człowiek nie może być obdarzony wszystkimi talentami — wyrzekł sentencyonalnie Byrd. — Pana specyalnością jest opisać w obrazowy sposób scenę, podchwyconą przez pana i to tak wiernie i dokładnie, że słuchacz pana, o ile cokolwiek umie władać ołówkiem, z łatwością może je zillustrować na papierze. Czy chce pan to zobaczyć? — dodał detektyw, wyciągając z teczki ćwiartkę papieru. — Mówi pan, że to działo się w poczekalni, na dworcu?

— Na dworcu w Syrakuzie — odpowiedział młody człowiek, śledząc ciekawie ruchy ołówka, biegnącego szybko po papierze pod wprawną ręką Byrda.

— Jak była ubrana młoda dziewczyna?

— W kostyum granatowy, którzy doskonale uwydatniał zręczną jej figurę. Ładna dziewczyna! Wysoka, rozwinięta! Tak... tak... bardzo dobrze. To zadziwiające, jak pan podchwycił jej postawę, ruch głowy... Duży kapelusz z dwoma wysokiemi piórami... Trochę więcej na bok pochylony... Oh!... doskonale! Torebka w ręce, dwie falbany w sukni. Twarz? Piękna, panie, bardzo piękna! Nos prosty, wielkie, siwe oczy, usta małe, dobrze wykrojone, wyraz gwałtownego niepokoju. Nie mogę wyjść z podziwu! Ależ to istna jej fotografia. Co za podobieństwo! Pan ma talent, mój drogi panie! Mało talent, geniusz!

Pan Byrd przyjął te pochwały, nie drgnąwszy nawet. Tylko lekki cień różowy rozlał się po jego twarzy. Starał się go ukryć, pochylając nisko nad szkicem.

— A teraz towarzysz młodej damy — rzekł cokolwiek niepewnym głosem. — Jakże on wyglądał? Wieleż lat mógł mieć?

— Może dwadzieścia pięć lat. Wzrost średni, szerokie ramiona, duże wąsy, błyszczące oczy, bardzo wymowne. Wygląd ogólny?... Jakże ja to panu

wytłumaczę? Pan tak doskonale podchwycił wyraz twarzy młodej dziewczyny, że i z tego wyjdzie pan zwycięsko.

Ołówek pana Byrd nie miał już teraz tej pewności, co przedtem. Młody człowiek był zmuszony czynić mu różne uwagi.

— Trochę więcej włosów na czole... Miał na głowie kapelusz, w tył zesunięty, co pozwalało widzieć włosy... Broda cokolwiek mniej szpiczasta... o, przepraszam, teraz jest zanadto okrągła... no, teraz już lepiej...

Detektyw oczywiście wiedział, że rysunek drugiej postaci przyniesie mu więcej trudu, niż pierwsza. Już zrobił wiele, że pojął ogólną sylwetkę młodego człowieka, więc podkreślił jeszcze krój ubrania, ruch rąk i głowy.

— Wspaniała rzecz! — zachwycał się agent handlowy. — Można ją nazwać arcydziełem! Panie kochany, czy pozwoli mi pan zachować ten rysunek na pamiątkę. Pragnę bardzo pokazać go jednemu z moich przyjaciół, który wraz ze mną znajdował się wówczas w poczekalni. On się tak zachwycał młodą dziewczyną.

Mówiąc to, poruszał dyskretnie w kieszeni kilka sztuk srebra, ale ponieważ Byrd zdawał się nie rozumieć tego dźwięku, nie nalegał więcej i zaprosił go na kieliszek wina, czego ten nie mógł odmówić.

W kilka minut później, kiedy Byrd wstał już, z zamiarem udania się do swojego pokoju, zauważył, że nieznajomy, siedzący w kącie, nie poruszył się ze swojego miejsca. Trwał dalej w tej samej pozycyi, przerzucając kartki „New York Heralda".

— Kolega — pomyślał Byrd.

Lecz po chwili zastanowienia przekonał się, że się mylił. Żaden detektyw, człowiek godny tego tytułu, nie byłby w stanie tak mało doceniać swojego bliźniego, aby przez godzinę prawie udawać, że czyta anonse dziennika. Nie! Ten nieznajomy musiał być tym, na którego wyglądał na pierwszy rzut oka. Cudzoziemcem, tak zajętym swojemi sprawami, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje wokoło niego, ani z faktu, iż trzyma tak długo dziennik w ręku.

— A może to amator — myślał Byrd, rozbierając się. — To ciekawe jednak, jak wielu ludziom zdaje się, że mają w sobie powołanie na Sherlock Holmesów. A nie mają do tego ani potrzebnej inteligencyi, ani przenikliwości. Z resztą, co to mnie obchodzi! Jutro wsiądę do pociągu, który mnie zawiezie do New Yorku, a tutaj dadzą sobie radę bezemnie.

Panna Emilia Farman.

Byrd nazajutrz obudził się z wrażeniem, że podczas nocy rozmawiano na korytarzu pod drzwiami jego pokoju.

Zdawało mu się, że służący hotelowy, czy też sam właściciel, otwierając gościowi drzwi sąsiedniego pokoju, wyrzekł donośnym głosem, z intencyą, aby on usłyszał:

— Więc pan już powrócił z podróży? Co pan myśli o tej strasznej katastrofie, która miała miejsce nazajutrz po pana odjeździe? Jaka tajemnicza sprawa! Nikt jej zrozumieć nie może!

Te słowa, które dźwięczały w uszach detektywa, intrygowały go silnie. Do kogo mogły zostać wymówione?

— Zapewne do tego wielkiego blondyna, czytającego dziennik w barze — tłumaczył sobie, schodząc do jadalni. — Chyba, że poprostu przyśniło mi się!

Po śniadaniu zdziwił się, zastając u siebie doktora Fradwella. Na twarzy jego malował się wyraz wielkiego zadowolenia, kiedy podawał mu list, nadeszły z New Yorku.

To zlecenie pisemne potwierdzało przysłanie ajenta wybranego przez prefekta policyi, zdolnego rozświetlić najzawilszą sprawę..

— „Przyznaję — pisał dalej prefekt — że w naszym interesie leży, abyście się posłużyli tym człowiekiem, a nie tamtym, o którym pan wspomina. Jednakże, jeżeli pan lub B. sądzicie, że jest koniecznem, aby on przyłożył do tego rękę i był panu użytecznym, nie opieram się temu, lecz pod warunkiem, żeby działał dyskretnie, nie ściągając na siebie zbytniej uwagi"...

— Pan prefekt może być spokojnym — wyrzekł Byrd z przymusem — nie mam wcale zamiaru mieszać się w tę sprawę.

— Tem gorzej dla pana, kochany panie Byrd — oświadczył doktor Fradwell. — Nie znajdzie pan prędko tak podatnego pola do wybicia się i pokazania swoich zdolności.

— Komuż to pan mówi? — rzekł z żalem młody detektyw. — Ale pan rozumie, po takim liście trzebaby okoliczności jakichś nadzwyczajnych, abym mógł się zdecydować do współdziałania.

— Wykażą się, przypuszczam, na rozprawie dzisiejszej — rzekł koroner. — Niech się pan do wieczora zastanowi jeszcze. Proszę mi wierzyć, nie trzeba nigdy działać pod pierwszem wrażeniem, bo można niejedną lekkomyślność popełnić!

Poczem, widząc, że detektyw potrząsał głową z pewnem wahaniem i brakiem przekonania, doktor Fradwell wyszedł spiesznie z pokoju, w obawie, aby nie posłyszeć od niego stanowczej odmowy.

Sala, w której prowadzono sprawę, tyczącą się morderstwa pani Clemmens, była wypełnioną, kiedy Byrd w niej się pojawił. Sala ta znajdowała się w budynku gminnym, parterowym, a że okna i drzwi z powodu gorąca były szeroko rozwarte, młody detektyw stanął na podwórzu, pod oknem i mógł doskonale wszystko widzieć i słyszeć, pochyliwszy się cokolwiek naprzód.

Byrd doznał pewnej ulgi, zauważywszy, że w sali znajdują się tylko nieznajome twarze. Chciał mieć umysł wolny, przysłuchując się śledztwu i nie podlegać obserwacyjnym spojrzeniom osób, które go znały — a przedewszystkiem nie chciał być narażony na utracenie tego, co dziać się będzie w sali. Przed wywołaniem nowych świadków, koroner w krótkich słowach wyłożył „resume" sprawy dla sędziów przysięgłych asystujących rozprawie.

— Badaliśmy dotąd, panowie — mówił jasnym, dźwięcznym głosem, rozchodzącym się po całej sali — mieszkańców dzielnicy, w której mieszkała pani Clemmens, w celu wyjaśnienia, o ile jest rzeczą możliwą, kto był osobą rozmawiającą z panią Clemmens w kuchni, w chwili, w której włóczęga podszedł do Białego Domku.

Byrd zauważył przy tych słowach jakiś ruch i lekkie zamieszanie na sali. Czy był on niezależny od słów koronera, czy nie, tego na razie detektyw wytłumaczyć sobie nie mógł.

— Rezultat naszego przesłuchania — ciągnął dalej koroner — był negatywnym. Nikt nie widział osoby, wchodzącej do pani Clemmens. Postanowiłem więc dziś rano odwołać się do zeznań innych. Może panom pomogą do wyrobienia sobie zdania, kto mógł być mordercą. Woźny! Proszę wprowadzić pannę Farman.

Weszła kobieta starsza, o twarzy brzydkiej, lecz sympatycznej i oparła się o balustradę, przegradzającą salę.

— Imię, nazwisko i godność pani? — zapytał koroner.

— Emilia Ludwika Farman, modystka.

— Emilia! — szepnął Byrd, przysłuchując się chciwie. — Imię osoby, do której pani Clemmens pisała...

— Miejsce obecnego zamieszkania i urodzenia?

— Jestem urodz na w Danbury, a mieszkam w miasteczku Utica, gdzie pracuję jako modystka.

— Czy jest pani krewną zamordowanej?

— Byłyśmy kuzynkami, mój panie. Matka pani Clemmens była siostrą mojej matki.

— Jakie stosunki pozatem łączyły panią z panią Clemmens? Czy może nam pani powiedzieć coś o innych jej krewnych?

— Żyłyśmy ze sobą zawsze w przyjaźni. Co zaś do innych krewnych, to znam ich mało. Moja matka, która mieszka ze mną i siostrzeniec, którego zmarła bardzo kochała i którego miała zamiar uczynić swoim spadkobiercą.

— Nazwisko i miejsce zamieszkania tego siostrzeńca?

— Nazywa się Morgan — Cyryl Morgan. Jest inżynierem u p. p. Harison i Chamberlain, rafinerzystów w Buffalo.

— W Buffalo — powtórzył Byrd, nie mogąc opanować drżenia.

— Czy pani zna tego młodego człowieka?

— Doskonale, proszę pana. Ile razy jest w Utice, wstępuje do nas.

— Co pani wie o jego charakterze, usposobieniu, uczuciach, względem pani Clemmens, która okazywała mu tyle przywiązania?

— Mój Boże, kochany panie, nie łatwo jest mówić z przekonaniem o uczuciach człowieka, zamknięte tego w sobie. A Cyryl Morgan nie należy do tych, którzy wiele mówią o sobie. Miałam go zawsze za chłopca bardzo prawego i zdolnego, przeznaczonego do zostania chlubą swojej rodziny. O ciotce swojej wyrażał się zawsze z uznaniem i serdecznością, ale tak, jak już mówiłam, zamknięty jest i nie lubi mówić o swoich uczuciach.

— Jednakże pani nie ma powodu przypuszczać, że niecierpliwił się i chciał jak najprędzej wejść w posiadanie sukcesyi po ciotce?

— O nie, panie! Oboje posiadali charaktery wyrobione, lecz odmienne. Zdarzało się, że wywiązywały się pomiędzy nimi burzliwe sprzeczki, ale to przechodziło szybko. Żadne z nich nie było mściwe i pamiętne uraz. Co zaś do sukcesyi, to Morgan zanadto sam się cenił, aby kiedykolwiek wypowiedzieć coś, co mogło cień jakiś nieprzychylny rzucić na jego nieskazitelną opinię. To człowiek wielkiej mocy charakteru, może trochę gwałtowny niekiedy, ale niezdolny zniżyć się do podłości.

— Człowiek o wielkiej mocy charakteru — uprzytomnił sobie Byrd z niepokojem rosnącym — zamknięty w sobie, ale gwałtowny niekiedy. Naprawdę, to portret młodego człowieka, który usiłowałem odtworzyć wczoraj.

Zajęty temi niepokojącemi myślami, Byrd czekał gorączkowo na zapytanie koronera, zapytanie decydujące, mające na celu zestawienie siostrzeńca z panią Clemmens, w stosunku jasnym, zdeklarowanym, lub też nawet ze zbrodnią samą, a przynajmniej z bohaterką dramatycznej sceny wczorajszej, mającej miejsce w poczekalni dworca w Syrakuzie.

Ale koroner widocznie miał inny cel na myśli, sądząc z zapytania, następnie zadanego świadkowi.

— Mówi pani, że ze zmarłą łączyły panią zawsze przyjazne stosunki. Mogę więc z tego wnosić, że cieszyła się pani jej pełnem zaufaniem i może była jej powiernicą?

— Tak, panie, o ile pani Clemmens skłonną wogóle była do zwierzeń.

— Pani zapewne będzie mogła nas poinformować co do stosunków jej majątkowych, albo może wyjaśni nam pani, dlaczego pani Clemmens wiodła życie tak osamotnione i przybyła osiedlić się w Sydney?

— Tego wyjaśnić nie mogę — odpowiedziała stanowczo panna Farman. — Sama zapytywałam się często, co ją zmusiło do wybrania takiego trybu życia, który nie był stosownym dla niej. W młodości swojej lubiła towarzystwo i zabawy. Nie będąc zupełnie ładną miała wielkie powodzenie, bo była bardzo inteligentną i wesołą.

— Czy może spadło na nią jakie wielkie nieszczęście, które tak zmieniło jej usposobienie? Może pani zwierzyła się, dlaczego tak odsunęła się od świata i znienawidziła ludzi.

— Bardzo być może, że powodem tej zmiany było zmartwienie. Cierpiała bardzo nad śmiercią męża i ja, która ją znałam dobrze, mogę powiedzieć, że od tej chwili stała się inną.

— W jakim czasie zaszedł ten wypadek?

— Upłynęło już lat piętnaście przynajmniej. To było na krótko przed jej przybyciem do Sydney.

— Pani znała pana Clemmens?

— Nie, panie. Nikt z nas go nie znał. Pobrali się w jakiemś małem miasteczku w Kalifornii, gdzie on umarł w kilka tygodni później. Kuzynka moja była niepocieszoną. Po powrocie, nie chciała widzieć nikogo, odmówiła propozycyi naszej zamieszkania razem z nami i osiedliła się w Sydney, którego odtąd nie opuściła więcej.

Głos koronera stawał się coraz poważniejszym, w miarę postępowania śledztwa.

— Panno Farman — rzekł — czy nie przyszło pani kiedy na myśl, że pani Clemmens dlatego wybrała to zamknięte i samotne życie, bo lękała się o bezpieczeństwo własnej osoby?

— Ależ, panie!...

Pytanie musiało być niespodziewane, bo Byrd nie zdziwił się, widząc, jak panna Farman zadrżała silnie. Uderzył go więcej ten sam ruch i zamieszanie, zauważone w tłumie. Tym razem mógł pochwycić, że ruch ten wyszedł od człowieka, opartego o drzwi, wychodzące na korytarz. Ale Byrd mógł tylko dostrzedz ramię tego człowieka.

Tymczasem koroner pytał dalej:

— Proszę mi powiedzieć, miss Farman, czy w przebiegu stosunków swoich ze zmarłą nie zauważyła pani, że pani Clemmens lękała się o swoje życie, lub też, wyrażając się jaśniej, czy istnieje ktoś, poza siostrzeńcem, o którym pani mówiła, mogący mieć prawo do dziedziczenia po jej śmierci?

— Tak, rozumiem — wyrzekła miss Farman wśród ogólnej ciszy. — Pan zapewne chce mówić o młodym Hildrethcie.

Słowa te wywołały wśród audytoryum niemałe zdziwienie. Panu Byrd zdawało się nawet, że doszedł go wykrzyknik gniewu. Zaczął się uważnie rozglądać po sali i wzrok jego padł na człowieka, którego dotąd nie zauważył. Człowiek ten torował sobie drogę do wyjścia. Coś w sposobie dokonywania tego manewru naprowadziło Byrda na myśl, że nieznajomym tym, z fałszywym wyrazem obojętności na twarzy, musiał być nie kto inny, jak kolega detektyw, wysłany przez prefekta policyi z New Yorku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Macierz Szkolna w Królestwie Polskiem.

W drugiej połowie zeszłego miesiąca odbyło się w Warszawie ogólne zebranie Polskiej Macierzy Szkolnej z udziałem delegatów prowincyonalnych. Był to pierwszy ogólny zjazd od chwili zatwierdzenia ustawy P. M. S. w dniu 26. kwietnia zeszłego roku na okupacyi niemieckiej, zaś we wrześniu tego samego roku na okupacyi austryackiej.

Jeszcze przed dwunastu laty, w epoce wprowadzenia w Rosyi życia parlamentarnego, rozpoczęto żywą akcyę celem wprowadzenia w życie tej organizacyi pod zaborem rosyjskim. Jak wiadomo, przed rokiem 1905 wszelka organizacya szkolna w Królestwie była zakazana; ale i po roku 1905, nawet po powstaniu i zalegalizowaniu Macierzy, rząd rosyjski stawiał jej na każdym kroku trudności. I tak 14 lipca 1906 roku wniesiono prośbę o zalegalizowanie 144 szkół; do 1. listopada wydano pozwolenie tylko na 42. Nie pomogły apelacye i powoływania się na prawo; bo, chociaż kurator teoretycznie przyznawał słuszność działaczom polskim, to w praktyce kierował się własnem uznaniem. W myśl tego postanowił, że tylko tam Macierz może zakładać szkoły, gdzie niema szkół gminnych.

Dla gubernii lubelskiej i siedleckiej stworzono osobne ograniczenia, mające rzekomo na celu obronę „niepolskiej“ ludności od wynarodowienia. Jak wyglądały te ograniczenia, wystarczy przytoczyć miasteczko Parczew w gubernii siedleckiej, liczące na 6 000 mieszkańców 4 000 Polaków a 2 000 Żydów, gdzie nie pozwolono na wykład w języku polskim, pod pretekstem, że ludność mówi tylko po rosyjsku!

Tak samo w Brzezinach, w gubernii lubelskiej. Od kandydatów na nauczycieli żądano świadectwa prawomyślności. Starania o to trwały miesiące, nieraz lata. Naczelnik dyrekcyi zwracał się do gubernatora, ten do naczelnika powiatu, ten do naczelnika straży ziemskiej, ten do strażnika — i to samo z powrotem. Dlatego też na 366 podań zatwierdzono tylko 61 nauczycieli. Wreszcie w roku 1907 Macierz Szkolna została nagle pod błahym pozorem przez Stołypina rozwiązana, a wszystkie założone przez nią instytucye oświatowe, uległy likwidacyi.

Taki stan trwał do wojny i do wyparcia Rosyan z granic Królestwa Polskiego. Skoro tylko polityczna sytuacya Królestwa zaczęła się wyjaśniać, podjęto usiłowania celem wskrzeszenia Macierzy. Przedłożono władzom okupacyjnym statut, który niebawem został zatwierdzony. Odtąd Macierz Szkolna zaczęła normalnie funkcyonować. Od dnia 1. maja roku zeszłego do 1. lutego roku bieżącego zawiązało się 196 Kół, z których 35 otrzymało tymczasowo prawa zarządów okręgowych, reszta, to jest 161, są Kołami miejscowemi. Liczba członków Macierzy sięga około 14.000. Wpływy 106 Kół, które na zjazd nadesłały sprawozdania, wynoszą 75 930 rb. i 3 303 m. wydatki 43 233 rb. i 934 m.

Otwarcie obrad poprzedziło nabożeństwo w kościele św. Krzyża, poczem delegaci udali się do sali Tow. techników, gdzie zagaił rozprawy prezes Rady nadzorczej, dr. A. Sokołowski, witając obecnych przedstawicieli władz okupacyjnych, tudzież członków Rady nadzorczej i Zarządu głównego. Sprawozdanie Zarządu głównego odczytał J. Biliński, kreśląc historyę wskrzeszenia Macierzy szkolnej i przedstawiając jej działalność od chwili zatwierdzenia jej przez władze okupacyjne.

P. Ciświcki z Lublina podał szczegóły z działalności Macierzy w okupacyi austryackiej, zaznaczając, że zatwierozono tam 60 Kół z 2 500 członków. Władze okupacyjne austryackie udzielają skutecznej pomocy. Powstają liczne czytelnie i biblioteki, zaś nadzór nad szkołami sprawują inspektorowie szkolni z Galicyi. Dyr. K. Kujawski złożył sprawozdanie z działalności wydziału pedagogicznego, którego zadaniem było planowe i systematyczne rozwinięcie pracy oświatowej.

Rozwinęła się obszerna dyskusya. Imieniem Rady nadzorczej dr. Rząd przedstawił wniosek zmiany dotychczasowej ustawy Macierzy. Ważniejsza zmiana dotyczy przedewszystkiem § 1 ustawy, który w nowej redakcyi brzmi: „Towarzystwo nosi nazwę „Polska Macierz Szkolna“ i ma na celu krzewienie i popieranie oświaty w duchu chrześcijańskim i narodowym“. Dr. Sępowski z Krakowa złożył życzenia Macierzy w imieniu Towarzystwa Szkoły Ludowej w Galicyi i unia rsytetu im. Adama Mickiewicza. Na wniosek delegata z Włocławka uchwalono zaprosić p. Antoniego Osuchowskiego na pierwszego członka honorowego Polskiej Macierzy Szkolnej. Wkońcu dokonano wyborów do władz Macierzy.

Uwolnienie internowanych Królewiaków.

Jak donoszą z Wiednia, Naczelna Komenda Armii zarządziła wypuszczenie na wolność wszystkich internowanych dotychczas poddanych Królestwa Polskiego, o ile nie są pod względem politycznym podejrzani.

W ten sposób odpowiedziano gorącemu życzeniu Polaków i wysnuto konsekwencye z proklamacyi niepodległości Polski.

Reorganizacya Rady Narodowej Królestwa Polskiego.

Po proklamacyi państwa polskiego została utworzona Rada Narodowa, do której weszli przedstawiciele najrozmaitszych stronnictw i grup politycznych Królestwa Polskiego. Z chwilą jednak powołania do życia Rady Stanu — Rada Narodowa nie miała ściśle określonej fizyognomii i zakresu kompetencyi. Nie było wiadomem, czy to organ opiniodawczy, czy dyskusyjny, czy doradczy, czy też — jak tego niektórzy chcieli — wykonawczy. Kres tej niepewności położyło ostatnie plenarne posiedzenie. Wprawdzie na to plenarne zebranie zjawiła się stosunkowo nieliczna ilość członków (około sześćdziesięciu), gdyż zaproszenia dla członków z okupacyi austryackiej na czas nie zostały doręczone, mimo to jednak zebranie to wyjaśniło sytuacyę Rady Narodowej wobec kół politycznych kraju.

Przewodniczył temu plenarnemu zebraniu profesor Władysław Smoleński, przy współudziale pp. Targowskiego, Kamieńskiego, Kaczyńskiego, dra Ant. Natansohna i Stan. Osiwińskiego. Referat o pracach zarządu i o ogólnej sytuacyi politycznej wygłosił pan Thugutt. Projekt nowej organizacyi Rady Narodowej przedstawił p. Popiel. Wedle tego projektu, jednogłośnie przez zjazd przyjętego, wyboru członków Rady Narodowej dokonują zjazdy miejskie i powiatowe. 217 delegatów wybierają powiaty, 49 delegatów wybiera 23 miast Królestwa. 50 delegatów Warszawa. Prawo udziału w zjazdach mają wszyscy obywatele, którzy przyjmą deklaracyę polityczną Rady Narodowej, stwierdzającą konieczność stworzenia jak najsilniejszej armii i rządu; zaczątek pierwszej stanowią Legiony, drugiego Rada Stanu, której nakazom i kierownictwu należy się bezwzględnie poddać. Rada Narodowa ma być organem opiniodawczym. Projekt ten po ożywionej dyskusyi uchwalono.

Temsamem więc Rada Narodowa, jako międzypartyjne zrzeszenie, otrzymuje ściśle określony charakter: staje się tylko organem opiniodawczym.

Uchwalono też projekt deklaracyi politycznej, jaką każdy członek Rady Narodowej ma złożyć. Deklaracya ta brzmi:

„W warunkach, jakie wojna i wynikły z niej akt 5 listopada wytworzyły na ziemiach polskich, uznaje zebranie polityczne, odbyte dnia... w... wielki moment dziejowy, w którym do bezpośredniej pracy nad odbudową państwowości własnej przystąpić niezwłocznie należy. Jedyną drogą dla Polski wskazaną drogą jest wydobycie z kraju sił, możliwie największych, dla rzucenia ich na szalę wypadków. — W pierwszym rzędzie dążyć należy do stworzenia możliwie największej armii narodowej, któraby sprawę polską wzmogła i zabezpieczyła, do stworzenia rządu, któryby siły kraju, tak dziś znaczne jeszcze, wyzwolił i do pracy nad odbudową Ojczyzny powołał. Taki zaczątek rządu widzą zebrani w Tymczasowej Radzie Stanu, której nakazom i kierownictwu gotowi są poddać się bezwzględnie, taki zaczątek armii widzą w bohaterskich Legionach, które jak najszybciej za kadry wojska polskiego uznane być winny i uzupełnione drogą ochotniczego na razie werbunku. Dla wzmożenia siły aktywnej społeczeństwa polskiego uznają zebrani za niezbędne zorganizowanie i uzbrojenie należytą powagą opinii publicznej krajowej i w tym celu za zwierzchni organ opiniodawczy dla odradzającej się Polski uznają zawiązaną w Warszawie dnia 15 listopada roku zeszłego Radę Narodową.“

Likwidacya Centralnego Komitetu Narodowego.

W dalszej ewolucyi życia politycznego w Warszawie, po ustanowieniu Rady Stanu, nastąpiły liczne zmiany w stosunku i ugrupowaniu różnych partyi politycznych.

Między innemi nastąpił rozłam w Centralnym Komitecie Narodowym, który składał się z pięciu grup politycznych, z których dwie, Polska Partya Socyalistyczna i Narodowy Związek Robotniczy, były najsilniejsze i ton nadawały. — Otóż, na ostatnim zjeździe zgłosiły swe wystąpienie z C. K. N. trzy grupy: Polska Partya Socyalistyczna, Narodowy Związek Robotniczy i Związek Niepodległości — tem samem więc większość stronnictw, w skład C. K. N. dotychczas wchodzących. — Lecz i dwa pozostałe stronnictwa, a mianowicie Stronnictwo Ludowe i Partya Niezawisłości, zastrzegły się, iż zachowują wolną rękę w realizowaniu swych programów partyjnych. Z znaczyć jeszcze należy, że, podobnie, jak pierwszy prezes C. K. N., p. Bolesław Lutomski, tak i ostatni prezes, członek Rady Stanu Artur Śliwiński, ostatnio zrzekł się prezesury. — W ten sposób C. K. N. po odseparowaniu się odeń P. P. S., N. Z. R. i Związku Niepodległości, przestał właściwie istnieć.

Ukraińcy do Wilsona.

Ukraińska reprezentacya parlamentarna wystosowała do prezydenta Wilsona memoryał, w którym powiedziano między innemi:

„My, Ukraińcy, tworzymy w słowiańskiej rodzinie narodów samoistny naród, który miał ongiś własne kijowskie państwo w wiekach średnich i może z dumą spoglądać na swoją historyczną przeszłość... Tylko skutkiem chwilowych, niezwykle nieprzyjaznych okoliczności zewnętrznych, stracił naród ukraiński swoją państwową niezależność, zachwiany w podstawach swego narodowego istnienia wyprawami dzikich hord azyatyckich i dlatego zniewolony był ul dz zawojowaniu ze strony ziem sąsiednich: Polski i Moskwy. A skoro państwa koalicyi, wśród których jest też Rosya, w piśmie do pana, panie prezydencie, mówią o przyszłem wyzwoleniu narodów słowiańskich Austro-Węgier, to pan nie zamknie oczu na to, że Ukraińcy nie mogą brać poważnie tej przechwałki mocarstw koalicyjnych i że muci ona spotkać się z żywym protestem z naszej strony. Naród ukraiński nie chce należeć w żadnej formie ani do Rosyi, ani do żadnego innego obcego państwa sąsiedniego, jakie może być utworzone na nowo, albo teraz, albo później, ale chce, odpowiednio do swojej liczby, przeszłości, kultury narodowej i bogactwa narodowego, dążyć do wyzwolenia narodowego“.

Werbunek w Ameryce.

Jak donoszą paryskie dzienniki z Waszyngtonu, z polecenia ministerstwa wojny i ministerstwa marynarki rozpoczął się już na całym obszarze Stanów Zjednoczonych werbunek do armii i do floty.

Album Legionów Polskich.

Nakładem „Nowości Illustrowanych“ wyszedł już z druku I. zeszyt

Albumu Legionów Polskich

przedstawiający w licznych fotografiach **historyę tworzenia armii polskiej.**

Album Legionów Polskich

wydane wspaniale **na kredowym papierze**, w wielkim formacie, zawiera obok krótkiej historyi powstania Legionów, kilkadziesiąt fotografii, illustrujących pierwsze polskie organizacye militarne, różne okresy formowania Legionów, wymarsz Legionistów z Krakowa, ze Lwowa, Przemyśla i innych miast, przysięgę na Błoniach, pierwszą polską szkołę podchorążych i t. p.

Album Legionów Polskich

jest do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych“ i w księgarniach po cenie 2 korony za egzemplarz. Na przesyłkę pocztową należy dołączyć 50 halerzy.

Kronika tygodniowa.

Od tygodnia zajęty jestem gruntownem studyum najnowszych przepisów i prawideł ortografii polskiej, wydanych (właściwie jeszcze nie wydanych, ale już uchwalonych...) przez krakowską Akademię Umiejętności po porozumieniu się z przedstawicielami świata naukowego w Królestwie Polskiem. Dążenia nasze polityczne i społeczne szły dotąd nieraz rozbieżnie, odtąd ma nas jednoczyć pisownia, co, oby stało się zadatkiem lepszej przyszłości. Czy jednakowoż spełni się me życzenie, bardzo wątpię, gdyż już dziś, choć owe prawidła pisowni nie ujrzały jeszcze właściwie światła dziennego, zdania są podzielone. Jedni oświadczają się za, drudzy przeciw. A jeżeli do zgody i jednomyślności nie możemy doprowadzić w sprawie tak drobnej, cóż dopiero mówić o innych dziedzinach życia. Zawsze się znajdzie jaki Siciński, który, bodajby z pod stołu, zawoła: *veto!* byle tylko zepsuć ogólną harmonię.

Ja tam, o ile mnie to dotyczy, wychodząc z zasady, że kogoś przecież słuchać należy, a tym „kimś" w sprawach pisowni może i powinna być Akademia, uchwał jej nie poddaję krytyce, owszem, postanowiłem się do nich bez zastrzeżeń zastosować, nie wiem przecież, czy mi się to uda w zupełności. Na starość już nie tak łatwo przyswajać sobie reguły, a myślę, przyzna mi racyę każdy, kto do dnia dzisiejszego, choć już dawno u nas zaprowadzono walutę koronową, liczy jeszcze na guldeny i centy.

Być więc może, że nieraz, pomimo najszczerszych chęci, strzelę jakiego „byka" ortograficznego i dlatego już dziś proszę uprzejmie Szanownych Czytelników o wyrozumiałość, gdyż, zastrzegam się wyraźnie, uczynię to z przyzwyczajenia raczej i zżycia się ze starą pisownią, broń zaś Boże, nie z lekceważenia sobie uchwał tak poważnej instytucyi, jaką jest Akademia Umiejętności Zresztą, jakże mógłbym się sprzeciwić jej postanowieniom, skoro tam podobno radzili nad tem fachowcy, ja zaś z gramatyką polską widziałem się po raz ostatni w gimnazyum, gdym ją, po ukończeniu klasy czwartej, jako już niepotrzebną, niósł w tryumfie na Szpitalną.

W każdym razie jestem pewnym, że, czy napiszę coś według nowych prawideł, czy też tak, jak to *in illo tempore* nas uczono, zrozumie mnie każdy. Pod tym względem pozostanę już konserwatystą, a to tem bardziej, że każdy konserwatysta polityczny jest zwolennikiem pokoju, czemu i ja nieraz już w kronikach wyraz dawałem i dawać nie przestanę, dopóki się wojna nie skończy. Ciekawy jestem, komu się prędzej sprzykrzy, jej, t. j. wojnie, czy też mnie, a dodać muszę, że jestem uparty, jak kozioł, albo Rusin.

Że zaś Rusini (teraz nazywają się sami Ukraińcami) są uparci, o tem każdy mógł się przekonać z ich wystąpień w sprawie wyodrębnienia Galicyi. W żaden sposób nie chcą przystać na to, by zgodnie wraz z nami żyć w jednym kraju, choć im tu przecież wcale znośnie i dobrze (nam z nimi gorzej!... przyp. zecera). Na gwałt zachciało im się osobnego kraju koronnego, który naturalnie musiałby się nazywać „zachodnią Ukrainą" i w tym celu wnoszą różne protesty i memoryały, nawet do Wilsona, który ma teraz w głowie raczej łodzie podwodne, a nie Ukrainę.

Ale dajmy temu spokój, gdyż to do rzeczy nie należy. Zacząłem pisać o pokoju i z tem przedewszystkiem muszę się załatwić.

Jestem zdeklarowanym przeciwnikiem wojny, nie z tego powodu bynajmniej, bym się może obawiał powołania pod broń, ale już choćby dlatego, iż jest to zabawka, na te ciężkie czasy zbyt kosztowna. Wyczytałem niedawno, grzebiąc w starych gazetach, iż godzina wojny kosztuje tylko... dziesięć milionów franków. W rachubę są tu wzięte jedynie wydatki czysto wojenne, nie wchodzą zaś w te obliczenia szkody gospodarcze, spowodowane wojną, które są jeszcze większe. I to do tego obliczenie owo pochodzi z czasów, gdy Włochy pozostawały w stadyum namysłu, czy dochować wiary sprzymierzeńcom, czy też lepiej ich zdradzić. Teraz wydatki wojenne wzrosły jeszcze bardziej. Jeśli więc zastanowimy się nad tem, że wojna trwa już z górą trzydzieści miesięcy, a każdy miesiąc ma bodaj trzydzieści dni, każdy zaś dzień dwadzieścia cztery godziny, jeśli przyjmiemy nadto według owego obliczenia dziesięć milionów franków kosztów wojennych na godzinę, to musimy przyznać, że prawdziwie bajońskie sumy poszły dotąd prawie na marne. Mówię „prawie" dotąd bowiem nikt nie wie, jaki będzie ostateczny wynik tych, że użyję od jednego z wielkich polityków zapożyczonego wyrażenia „gigantycznych zmagań".

Warunki koalicyi, pod jakimi zdecydowałaby się na zaprzestanie kroków wojennych, choć już sama ledwie dycha, są ogólnie znane, kronikarz *Nowości illustrowanych* poruszał je niejednokrotnie, ale tylko bardzo pobieżnie, obiecał przecież, że kiedyś do nich wróci. Czyni to więc dziś, gdyż jest to temat najzupełniej odpowiedni do rozmyślań wielkopostnych.

Przedewszystkiem więc zastrzegła się koalicya, że cele jej wojenne zostaną w swych szczegółach wraz z wszystkiemi rekompensatami i usprawiedliwionemi odszkodowaniami za poniesione straty wyjaśnione dopiero w godzinę rokowań. Tak ona przynajmniej powiada, choć świat cały, nawet niebardzo cywilizowany, wie, że wojna toczy się w obronie interesów Anglii i uwolnienia jej od niebezpiecznej konkurencyi niemieckiej. Ku temu celowi dążą też warunki przyszłego pokoju, ogłoszone w swoim czasie przez koalicyę

W pierwszym więc rzędzie Belgia, Czarnogóra i Serbia mają znaleźć się w tym samym stanie, co przed wojną, a trzej królowie bez koron mają powrócić na swe trony. Aby im otrzeć łzy i wynagrodzić cierpienia i kłopoty, każde z owych państw ma otrzymać odpowiednie odszkodowanie w wysokości kwoty, którą oznaczy Anglia by sobie mogła ściągnąć z tego wypłacone dotąd na to konto zaliczki. Z Francyi, Rosyi i Rumunii cofną się mocarstwa centralne i zapłacą również za to według angielskiego uznania. Dalszy ciąg warunków jest nadzwyczaj uczuciowy, spłodzony przez jakowegoś poetę o nadzwyczajnym polocie i nie bylejakiem natchnieniu, mówi bowiem o tem, o czem Anglicy wspominać ogromnie nie lubią, to jest o „gwarancyi trwałych stosunków, opartych zarówno na zabezpieczeniu narodowości i praw wszystkich małych i wielkich narodów (n. p. Indye lub Irlandya!... przyp. zecera), jak i na terytoryalnych umowach i międzynarodowych uregulowaniach, nadających się do ochrony kraju i jego granic przed bezprawnymi atakami". Pozatem żąda się zwrotu prowincyi i obszarów, które przedtem wydarto sprzymierzonym gwałtem lub wbrew woli ich ludności (przygrywka do Alzacyi i Lotaryngii), wyswobodzenia Włochów, Słoweńców, Rumunów, Czechów i Słowaków z pod obcego panowania, uwolnienia ludności, podległej brutalnej tyranii Turcyi (Egipt w sam raz nadaje się dla Anglii, nie mówiąc już o reszcie) wreszcie wyrzucenia państwa osmańskiego z Europy, gdyż jest ono niewątpliwie obcem dla zachodniej cywilizacyi, reprezentowanej w danym wypadku przez Anglię, Francyę i t. d. Dopóki Turcy byli Anglii potrzebni, całowało się ich w brodę, teraz chce się ich wyrzucić z Europy w imię cywilizacyi!

Biedna ta „zachodnia cywilizacya"! W jakiem świetle przedstawiać się musi bezstronnemu obserwatorowi, choćby był nawet mało lub zupełnie nie cywilizowanym!

I nam Polakom dostała się osobna wzmianka, o niczem przecież nie mówiąca, zaznaczająca bowiem najwyraźniej, że „zamiary jego cesarskiej mości, cara Rosyi, w sprawie Polski są jasne i zostały podane w proklamacyi, wystosowanej przez niego do swej armii".

Jaką zaś wartość i znaczenie mają wszelkie obietnice, proklamacye i manifesty, redagowane nad Newą, wie chyba każdy. Kto się na gorącem sparzył, ten na zimne dmucha, nic też dziwnego, że, choćby car złote góry obiecywał, nikt mu nie uwierzy, a autor owych warunków, wyrażając się w ten sposób, oddaje mu iście niedźwiedzią przysługę.

Bardzo uczuciowem jest także zakończenie, które powiada:

„Sprzymierzeni chcą wyrwać Europę z pod brutalnych rządów pruskiego militaryzmu, ale, jak się samo przez się rozumie, nie było nigdy ich zamiarem, jak to podawano, dążenie do zniszczenia niemieckich ludów i do ich politycznego zniknięcia. Pragną przedewszystkiem zabezpieczenia pokoju na podstawie wolności i sprawiedliwości, przy nienaruszonej wierności dla międzynarodowych zobowiązań, czem rząd Stanów Zjednoczonych był zawsze owiany.

Sprzymierzeni, zjednoczeni w dążeniu do tego wysokiego celu, każdy poszczególny, jak i wszyscy razem są zdecydowani działać całą siłą i ponieść wszelkie ofiary, aby spór doprowadzić do zwycięskiego końca, od czego, ich zdaniem, jest zależne nie tylko ich własne szczęście i pomyślność, ale także przyszłość cywilizacyi."

Pan Wilson, odczytawszy podobną odpowiedź koalicyi na propozycyę mocarstw centralnych, tak się nią przejął głęboko, iż zerwał z Niemcami stosunki dyplomatyczne, naturalnie także w imię pokrzywdzonej cywilizacyi! W koalicyę wstąpił nowy duch, a sprawa rychłego pokoju odsunięta została znowu na punkt dalszy.

I to mnie właśnie najbardziej nęka, iż wszyscy, którzy mienią się być największymi opiekunami cywilizacyi, sami jej najdotkliwsze ciosy zadają.

Jak dotąd, nowa anti-pokojowa akcya Wilsona ograniczyła się na zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Niemcami, zwłaszcza, iż zawiodły inne państwa, dotąd naprawdę neutralne. W Ameryce przecież panuje widocznie duch wojenny, który obecnie z sufrażystek przeniósł się i na brzydszą połowę rodzaju ludzkiego. Czytamy w pismach codziennych, iż Wilson wielce wzruszony depeszą Roosevelta, w której tenże ofiaruje swe życie i życie czterech synów swoich na usługi ojczyzny, odpowiedział telegramem dziękczynnym i zamianował najstarszego syna Roosevelta pełnoletnim (z uwolnieniem od taksy!...)

Drugi więc powód, dla którego jestem przeciwnikiem wojny, a zwolennikiem pokoju, jest ten, że na polityce obecnej zupełnie wyznać się nie podobna i nikt właściwie nie wie, o co komu chodzi. Wczorajszy zwolennik pokoju gardłuje dziś za wojną i odwrotnie, zwykłym zaś śmiertelnikom powiada się, że tak być musi i basta!

Trudno! Jeśli tak być musi, niechaj więc będzie, ja, jak już poprzednio obiecałem, zrywam z polityką i nie zajmę się nią, aż po zawarciu pokoju, ale nie na tych warunkach, jakie wyżej przytoczyłem, byłoby to bowiem dopiero prawdziwem pogwałceniem cywilizacyi, a na to znów ja pozwolić nie mogę

Gdybym się znał na astronomii, zająłbym się natomiast raczej plamami na słońcu, o czem gdzieś niedawno czytałem, nie będąc przecież biegłym w tym fachu, zostawiam to specyalistom, lub tym, którzy potrafią mówić i pisać o wszystkiem i o niczem, ale zawsze bardzo zajmująco. Ja, boję się, iż nie sprostałbym zadaniu. Co najwyżej, mógłbym radzić, by splamione słońce w imię cywilizacyi oddać do pralni chemicznej, a wszystko będzie w porządku. Czy owe plamy słoneczne mają jaki związek z sytuacyą polityczną lub choćby decyzyą Wilsona, dążącego do zagarnięcia w swe ręce dyktatury Stanów Zjednoczonych, tego nie wiem ani ja, nie wiedzą też nasi politycy i astronomowie. Jedna pani de Thèbes mogłaby może coś o tem powiedzieć, ale trudno tego od niej wymagać, skoro już nie żyje. Z doświadczenia własnego wiem przecież, że podobne zjawisko astronomiczne zostaje zwykle w pewnym związku z życiem, może nie całych ludów, w każdym razie przecież jednostek. Swojego czasu mówiono także i pisano wiele o plamach na słońcu. Wówczas chodziłem jeszcze do gimnazyum i akurat w tym roku oberwałem dwóję i to na drugie półrocze (plamy na słońcu doszły wtedy do największych rozmiarów...), wobec czego ś. p. mój rodzic urządził niespodzianą ofenzywę na mój tylny odcinek i niezbyt przyjemnie zapisał się tam cybuchem ku wiecznej pamięci.

Ilekroć więc ktoś wspomina dziś o plamach na słońcu, tyle razy powtarzam, że nie wróży to nic dobrego. Być może, że kto mnie wyśmieje, iż jestem zacofany, jeżeli wierzę w takie bzdurstwa. Wolna wola!... Niech się śmieje, jeśli ma ochotę, a ja mu na to powiem, że swojego czasu (nie tak to dawno!...) pokpiwaliśmy sobie z komety Halleya, gdy nam zaczęła kiwać swym ogonem, a teraz widzimy, że wykiwała obecną wojnę.

Miałem więc plamom słonecznym dać spokój, tymczasem widzę, iż się niepotrzebnie rozgadałem i gotowo mi braknąć miejsca na inne, ważni jsze sprawy.

Na pierwszym planie stoi połączenie Krakowa z Podgórzem zapomocą szerokotorowego tramwaju. Dotąd łączyły nas mosty, druty elektryczne i magistrackie rury, gazowe i wodociągowe, teraz przybyły do tego i stalowe szyny. Połączenie więc silne. Nową linią dotąd nie jechałem i tak prędko się tam nie wybiorę, rząd tramwajów zaprowadził bowiem oszczędności i wypuszcza coraz mniej wozów, zmuszając w ten sposób bliźnich do wzajemnego gniecenia się i deptania sobie po od iskach, co ma znowu wpłynąć na podniesienie się temperatury we wozie bez potrzeby ogrzewania w inny sposób. A trzeba i o tem pamiętać, że każdy Krakowianin, a zwłaszcza Krakowianka, to arystokraci z krwi i kości! Niechajby druga klasa w wozie tramwajowym świeciła pustkami, a w pierwszej ludzie gnietli się, niczem śledzie w beczce, szanująca się niewiasta musi się tam przecież wepchać, choćby miała narazić na szwank cielesną swą powłokę i jej różnorodne okrycia. Jakby to wyglądało i co powiedzieliby ludzie, gdyby ją tak zobaczył kto w drugiej klasie!... Pfe!... Nawet myśleć o czemś podobnem nie wypada!... Jest to tak zwana „krakowska arystokracya za dwa centy", gdyż tyle wynosi różnica między ceną biletu jazdy klasą pierwszą lub drugą.

Otóż, ze względu na ów ścisk w tramwajach, chodzę obecnie piechotą i dlatego dotąd na Podgórze nie pojechałem. Dodam, iż otwarcie nowej linii odbyło się bardzo cicho i zupełnie sucho. O ile wiem, nie było *ex re* tej uroczystości ani zwykłej wyżerki na koszt miasta, ani żadnej „chlapki". A może i były, ale tylko dla wybranych, więc zwykły *plebs* nic o tem nie wie.

Kalodont
Krem do zębów Woda do ust

Zagadki do nagrody.

Przysłowiówka.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z każdego przysłowia należy wyjąć po jednej literze, idąc sześć razy z góry na dół, a otrzymamy inne polskie przysłowie:

1. Wyszedł jak Zabłocki na mydle
2. Wielki człowiek do małych interesów
3. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.
4. Kto nie dołoży okiem, ten dołoży workiem.
5. Wieczerza hojna, noc niespokojna.
6. Wodę mierzyć, woda będzie
7. Więcej poufałości, niżli znajomości.

Logogryf.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego bohatera.

```
      □
    — □ —
  — — □ — —
    — □ —
      □
    — □ —
  — — □ — —
  — — □ — —
— — — □ — — —
  — — □ — —
  — — □ — —
    — □ —
      □
    — □ —
  — — □ — —
    — □ —
      □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Znane z historyi miasteczko na Podolu. 3. Oficer wojsk polskich z r. 1831. 4. Zwierzę drapieżne. 5. Samogłoska. 6. Owad. 7. Inaczej skarga. 8. Miasto w Japonii. 9. Prawo wyłącznej sprzedaży. 10. Zdrobniałe imię żeńskie. 11. Zdrobniałe imię męskie. 12. Rzeka w Afryce. 13. Samogłoska. 14. Nazwa kart w grze. 15. Miasto w południowej Francyi. 16. Część twarzy. 17. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Kacykiem Araratu jestem: jaje w kratki.

Okienko.

Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a a a a a a
g   g   i
i   j   k
k m m m n n ó
ó   r   r
s   s   s
s t t z z y y
```

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej skład. 2. Materya. 3. Inaczej usposobienie.

Równanie.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć po tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną sylabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko, w drugiem imię zmarłego niedawno polskiego artysty malarza.

$$\frac{a}{3} + \frac{b}{2} + \frac{c}{3} + \frac{d}{4} = x.$$

$$\frac{e}{2} + \frac{h}{4} + \frac{k}{3} = y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Imię żeńskie litewskie. b) Państwo azyatyckie. c) Polski kompozytor. d) Współczesny polski malarz. e) Inaczej opóźnienie. h) Tak. k) Przyrząd do mierzenia ciepła.

Grzebieniówka.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy imię i nazwisko niedawno zmarłego literata i publicysty chorwackiego.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Poeta i pisarz chorwacki. 2. Wódz rosyjski. 3. Roślina baldaszkowata. 4. Miasto w Palestynie. 5. Inaczej dfiniowa. 6. Polska powieściopisarka. 7. Inaczej objaśnienie. 8. Księga święta Persów.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Orkan śpi, śni, dławi drastycznie staw.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

MOROG.

LEON FORG.

IDZI REGACZ.

DR. ZENEK CAR.

ANZELM CYRYL KIENAS.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 7.

Logogryf:

```
A r a n k a r y a
      s o s
    a o r t a
      o n a
    a r e n a
a n t o l o g i a
  M a r u s i a
    k a j a k
    A t e n y
  k r a j c a r
a t m o s f e r a
a u t o k r a t a
  r e n i f e r
```

Zadanie na rozsypane litery: Kto prędko daje, dwa razy daje.

Szarada: Trawestacya.

Trójkąt magiczny:

```
G r u s z e c k i
R a c i b o r z
U r s z u l a
S a m a r a
Z e g a r
E d e n
C a p
K u
I
```

Zadanie do przestawienia: Im kot starszy, tem ogon twardszy.

Trójkąt magiczny:

```
K o a l i c y a
O k r y c i e
A n t o n i
L i t w a
I g ł a
C a p
Y a
A
```

Łamigłówka literacka: Kraszewski, Malczewski, Mickiewicz, Niemcewicz.

Kwadrat magiczny:

```
P a r a
a z o t
r o p a
a t a k
```

Bilety wizytowe: Dziennikarz. Rojalista. Wojewoda. Powieściopisarz. Artysta rzeźbiarz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów, M. Wolska Wiedeń, M. Karczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R. Wójcik Przemyśl, Z. Małecki Lwów, S. Burzyński Jasło, M. Borkowska Przemyśl, Z. Walkowski Brzesko, H. Dziedzic Tarnów, E. Winter Tarnów, M. Chunk Drohobycz, E. Bogdalska Koropuż, B. Wendling Kraków, J. Sosenko poczta pol. 286.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **E. Bogdalska, Koropuż.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Szpital „Czerwonego Krzyża“ w Suchej został otwarty. Przed tygodniem nadszedł pierwszy transport chorych żołnierzy. Jak wiadomo, będzie on przeznaczony dla ozdrowieńców po cierpieniach płucnych, jakoteż dla zagrożonych chorobą piersiową. Jak już donosiliśmy, szpital ten został urządzony staraniem krajowego Stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża“ w pięknym zamku hr. Branickich wśród przepysznych borów. Położenie i klimat zapewni ją mu idealne warunki zdrowotne. Kierownikiem szpitala został dr. Antoni Bobak.

KSIĘGA PAMIĄTKOWA WIELKIEJ WOJNY!

Dzieło to, wydane pod skromną nazwą **Kalendarza „Nowości Illustrowanych“ na rok 1916,** zawiera **illustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski.** Oprócz opracowanej systematycznie historyi wydarzeń wojennych (wraz z chronologią), poszczególne działy „Kalendarza“ dają tak w opisach, jak i w fotografiach, wyczerpujący **obraz zniszczenia w Polsce, polskiego tułactwa wojennego i działalności bojowej Legionów.**

Już tylko niewielka liczba egzemplarzy tego pamiątkowego wydawnictwa, które powinno znaleźć się w każdym domu polskim, jest do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych“ po cenie:

2 kor. za egzemplarz oprawny i **3 kor.** za egzemplarz w płóciennej, ozdobnej oprawie.

(Środek przeczyszczający), którego każdy bez namysłu użyć może, stanowią Fellera łagodnie przeczyszczające, wzmacniające żołądek pigułki rumbarbarowe z marką „Elzapigułki“. Ceny pokojowe: 6 pudełek franko 4 kor. 40 hal. u apt. karza E. V. FELLERA, Stubica, plac Elzy Nr. 127 (Kroacya). 12 flaszek Fellera fluidu z marką „Elza-fluid“ franko 6 koron. **Uśmierza ból.** (et)

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 8 (dom własny) Telefon Nr. 381.

Kupuję i sprzedaję



złoto, srebro i brylanty oraz wszelką biżuteryę nową i antyczną. Płacę najwyższe ceny.

Zakład zegarmistrzowski i jubilerski

J. Cyankiewicz, ul. Sławkowska 24.

Najpiękniejsza pamiątka światowej wojny!

Dla uczczenia naszych bohaterów, polskich Legionistów oraz wszystkich oddziałów wojsk armii austr.-węg. otrzyma tę pamiątkę każdy, kto nadeśle wojskową lub cywilną fotografię. — Nie jest to żadne malowidło, lecz uniform wykonany na welinowym papierze w kolorze szarym i może być z wszelkiemi odznaczeniami i szarżą w przeciągu 14 dni dostarczoną. Cena K 12–13. Na żądanie prospekt Nr. 38 darmo i opłacony. Zastępcy poszukiwani.

M. E. Schlosser, Wien III., Invalidenstrasse 1.

Suchotnicy!!

Piersiowo chorzy — Płucno chorzy — Astmatycy – Skrofuliczni – Bezkrwiści Cierpiący na blednicę.

Nareszcie wynaleziono środek, przynoszący dawno upragnioną ulgę w wymienionych cierpieniach i wyleczenie tych chorób zapomocą

Wapienno-żelazistego syropu aptekarza Vertes'a.



Okazał się już u setek tysięcy cierpiących jako **znakomity środek.** a najpoważniejsi profesorowie i lekarze stosują go i polecają jako skuteczne **lekarstwo** w wymienionych chorobach jakoteż do **koklusza, angielskiej choroby (rhachitis), pl cia krwią, chudnienia, chorób kobiecych i stawów znużenia i wyczerpania** każdego rodzaju. Z powodu przyjemnego smaku i zapachu zażywają go chętnie nawet najwybredniejsze podniebienia dzieci. **Wojskowi,** wracający z pola walki, wyczerpani i wycieńczeni zażywają go ze szczególnem upodobaniem i ze znakomitym pożytkiem dla wzmocnienia i uzdrowienia **osłabionego przez trudy wojenne organizmu.**

1 flaszeczka K 5·50 opłatnie; 4 flaszeczki wymagane zwykle do zupełnej kuracyi, za nadesłaniem naprzód należytości kor. 15·80.

Do nabycia tylko u L. Vertes'a, apteka pod „Białym Orłem“, Lugos 742, Banat.

KINO-WANDA

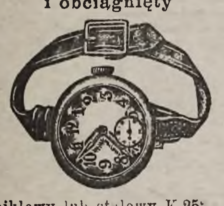
przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Wojenny zegarek z branzoletką

dokładnie zregulowany i obciągnięty



niklowy lub stalowy K 25·—, 30·—, 35·—, z radiową tarczą świetlną K 30·—, 35·—, 40·—. Zegarek remontoir z perłową masą K 30·—, 35.—. Srebrny zegarek z branzoletką kor. 50·—, 60·—. 14-sto karatowy złoty zegarek z branzoletką K 130·—, 160·— Na każdy zegarek 3-letnia pisemna gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

I-sza fabryka zegarków

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dost. w Brüx Nr 1570 (Czechy)

Główny katalog darmo i opłatnie

Administracya Nowości Illustrowanych

wysyła za poprzedniem nadesłaniem gotówki następujące książki:

a) **„Wojenny Balonik“** Wacława Grabiańskiego cena 1 kor.

b) **„Gruba Berta“** Stefana Nowińskiego cena 3 kor.

c) **„Po ślubie“** Artura Gruszeckiego cena 4 kor.

Na porto polecone nadsyłać należy dla *a)* 50 hal., dla *b)* i *c)* po 70 hal.

Za wysyłki niepolecone Administracya nie odpowiada. — Za zaliczką nie wysyła się.

Czarodziejsko piękną

i młodzieńczo świeżą, różową cerę aż do późnej starości zachowują kobiety i dziewczęta, jeżeli używają mojej tysiąckrotnie wypróbowanej i przez fachowy h lekarzy uznanej za znakomitą receptę (podług dr. Idelson). Tysiączne listy z uznaniem. Pryszcze, piegi, zajady, plamy, zmarszczki, czerwoność twarzy znikają pewnie pod gwarancyą. Wysyłam każdemu odpis tej recepty zupełnie darmo, proszę napisać zaraz

B. JELINEK, Wiedeń 56. Fach 52. Abt. 25.

Uprasza się o markę na odpowiedź.

Darmo i opłacony

otrzymuje każdy na życzenie mój katalog główny z prze-



szło 4000 odbitek zegarków złotych i srebrnych, przedmiotów muzycznych, przyrządów do golenia, skrzypiec do nauki i koncertowych po kor. 12·—, 14·—, 16·—, 18·—, 22·—, 30·—, 40·—, 50·70 i wyżej. Dobre harmonijki po kor. 8·—, 10·—, 12·—, 14·—, 16·—, 22·—, 30·—, 40·—, 50·— i wyżej. Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy. Wysyłka za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości przez dom wysyłkowy

HANNS KONRAD

c. k. nadworny dostawca w Brüx, Nr. 1746 (Czechy).

SUKNA

jedwabne materye i modne materye dla panów i pań poleca firma

Prokop Skorkovský i syn

Humpolec, Czechy.

Próbki przesyła się na żądanie tylko bezpośrednim konsumentom. Towary w dobrym gatunku.

Trociny drzewne

sprzedaje

Zarząd Wodociągu miejskiego, Kraków, Dz. XII., Senatorska 1.

Krem twarzowy jako puder.



Precz z każdym pudrem, który tylko pory zatyka i bezwarunkowo robi z czasem zmarszczki w twarzy. Używajcie **perłowego pudru kremu dr. A. Rix** białego, różowego i kremowego. Krem puder jest prawnie chroniony, zupełnie nieszkodliwy, żadna szminka, nadaje natychmiast matową, delikatną cerę. Do pielęgnowania skóry i piękności niezrównany i oszczędny w użyciu. Próbna doza kor. 2·—, większa doza na cztery miesiące wystarczająca koron 4·—.

Wysyła pod ścisłą dyskrecyą

Kosmetyczne laboratoryum dra A. Rixa

Wiedeń IX. Lakiergasse 6/F.

Do nabycia **w Krakowie:** Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska, Rynek 37. Perfumerya pod „Kometą“. K. Miklaszewski, plac Dominikański. **We Lwowie:** Perfumerya Sładowskiego, apteka pod srebrnym Orłem, ulica Krakowska 1. **W Białej:** Droguerya Polaczka, ul. Kolejowa. **W Cieszynie:** Schw. Hunddrog i Anckerdrog.

HUMORYSTYCZNY

KALENDARZ „BOCIANA“

na rok 1917

już wyszedł drugi nakład i jest do nabycia we wszystkich trafikach i księgarniach.

Nabywać go też można wprost w Administracyi „Bociana“, Kraków XV. Przesyłkę uskutecznia się odwrotnie **za nadesłaniem należytości z góry, za egzemplarz 1 kor. 40 halerzy, na porto 10 hal., lub 60 hal. na porto rekomendowane.** Za przesyłki nie rekomendowane Administracya nie odpowiada.

Wielce interesująca

Skrzynka z widokami



ciągłym zmieniaczem obrazów. **Tylko dla Panów** Do tego **50** bardzo pikantnych zdjęć fotograficznych. Obrazy przedstawiają się **nadzwyczaj pięknie i bardzo plastycznie,** a także przez ciągłe przesuwanie się obrazów jako pikanterya, panorama ta kupowaną jest bardzo chętnie przez Panów. **Kompletna panorama wraz z 50 fotografiami** tylko **K 5·—. Dyskretne wysyłki** tylko wprost za zaliczką przez

M. SWOBODA, Wiedeń, III/2, Hiessg. 13–31.

W pole wysyła się tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości.

Już wyszedł

Album Legionów Polskich

Zeszyt I.

Cena 2 korony.

Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych“.

Potrzebny uczeń

do

drukarni i kliszarni

Nowości Illustrowanych

AKTUALNA NOWOŚĆ! SATYRY WOJENNE.

Cena 3 korony.

GRUBA BERTA

STEFANA NOWIŃSKIEGO

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Administracya „Nowości Illustr.“ uskutecznia wysyłkę „Grubej Berty“ za nadesłaniem kosztów przesyłki w kwocie 70 hal., czyli razem **3 kor. 70 hal.**

ADMINISTRACYA „Nowości illustrowanych“ odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego